

TYGODNIK ILLUSTROWANY



PO DRODZE
Z Salonu T. Z. S. P. w Warszawie

GUSTAW PILATTI

30 lipca b. r. minęło 25 lat od dnia, w którym z domu przy ulicy Kanonicznej num. 9 w Krakowie wyprowadzono zwłoki autora „Kościuszki pod Racławicami“ na wieczny odpoczynek. W trzy lata potem ze składek publicznych ufundowano na cześć autora „Tyrteusza“ tablicę pamiątkową i wmurowano ją w głównej nawie kościoła św. Salwatora na Zwierzyńcu, gdzie zmarły pragnął spoczywać.

Puścizna literacka Wł. L. Anczyca nie przeszła do historii: „Kościsko pod Racławicami“, to „unicum“ w dziejach teatru polskiego, grany od lat 27 niezliczoną ilość razy, wcale nie zatracił niesłychanej doniosłości pedagogicznej, jaką ma dla najszerzych mas; sztuki ludowe Anczyca przeniosły się ze scen stołecznych na grunt właściwy, na młodą scenkę ludową i stanowią dzisiaj podwalinę jej repertuaru (ob. sprawozdanie „Związku teatrów i chórów włościańskich“); książeczki i broszury popularne dla ludu i młodzieży, które za życia autora rozeszły się w niebywałej, jak na owe czasy, liczbie egzemplarzy (tak np. „A B C, pierwsza nauka dla dzieci“, 1 wydanie w Warszawie 1871 roku, w 8-ce, str. 143, rozeszło się w 115 tysiącach egzemplarzy), pojawiają się ciągle w nowych nakładach.

Zasłużony redaktor *Kmiotka* działa do dziś z poza grobu. Sądźmy więc, że spełniamy obowiązek publicystyczny, próbując w ćwierćwiekową rocznicę śmierci naszkicować charakterystykę produkcji piśmienniczej Wł. L. Anczyca.

* * *

Trzy formy literackie przybierała ludowa czynność pisarska Anczyca: dramat, broszura i czasopismo ludowe; to były trzy drogi, na których pisarz ludowy do rzeszy przemawiał.

Dramat—środek doskonały, działający zbiorowo na masy, rozporządzający tylu środkami, ażeby zająć i wzruszyć, więc efektami akustycznymi i optycznymi, żywym słowem i szerokim gestem, kostyumem i dekoracją, śpiewem i muzyką, a za osnowę mający te kawały, wydarte z życia, zwierciadło, w którym każdy stan swoim sprawom i przypadkom przypatrzeć się może; dla bardziej sentymentalnych natur źródło serdecznych wzruszeń, łez i westchnień, kiedy złość i niecnota górą, żywej radości i odruchowego współczynienia, kiedy cnota zasłużoną odbiera nagrodę.

Świeżo podniesiony postulat potrzeby sceny ludowej jest bardzo ważną i aktualną sprawą; nic może tak wstrząsająco nie działa na prostą, nie zepsutą żadnym „izmem“ uczuciową stroną natury chłopca, jak sztuka, którą on zrozumieć jest w stanie. Wychowawczo-kulturalne znaczenie sceny jest tu niesłychanie doniosłe. Tylko idzie tu o wystawianie rzeczy istotnie ludowych, a więc w formie i treści dla pojęć siermiężnych widzów dostępnych.

Im więcej sztuka obejmie całokształtu życia ludowego, im subtelniej podpatrzy i zreprodukuje charakterystyczne jego cechy, im bardziej jednolity typ chłopca z jego specjalnym

poglądem na świat utworzy, im z drugiej strony więcej opanuje jego język, dyalekt, gwara, tem bliżej staje ideału dramatu ludowego. Żąda się tedy tutaj realizmu w treści i formie, ale nie tego realizmu, który jest sam sobie celem: tu celem winien być utilitaryzm, pedagogia, pouczanie.



Wł. Anczyca

Dusza chłopska, nie znająca wyrafinowanej gurmanderyi estetycznej, nie będzie rozkoszowała się subtelną perypetyą sztuki; ona raduje się, kiedy na desce scenicznej ujrzy własne odbicie, i z natężeniem śledzić będzie akcję, jeśli ją autor podpatrzył z przyby wiejskiej chałupy i na scenę podał.

W tej akcji autor ludowy, świadom swojego posłannictwa, dobitnie skarcić musi przywarę, pochwalić przymiot, iżby dramat był dla wrażliwej, dziecięcej duszy chłopskiego widza słowem z kazalnicy, pouczeniem mądrego nauczyciela w szkółce wiejskiej, imperatywem dobra, potępieniem zła. Wtedy ludowy dramat będzie dobry, zasługa oświatowa, czyn obywatelski spełniony.

Takiego dramatu przed Wł. L. Anczycem nie mieliśmy. Franciszek Dyonizy Książnin może być chyba metaforycznie nazwany praojcem polskiego dramatu ludowego; jego chłopiec stylizowany przebrał się tylko na chwilę w siermięgę, ażeby na fujarce, której



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE

brzmienie niczem się nie różni od dźwięku pięknie inkrustowanego spinetu, zagrać siełankę przed dostojnym gronem słuchaczy.

Krakowiacy Wojciecha Bogusławskiego już mówią swoim językiem, a naśladują ich górale, którzy swój własny dyalekt pozostawili ze szkodą dla sztuki—w Tatrach. Widzimy na scenie krakowskiego chłopca z krwi i kości, ale widzimy go tylko w jasnym świetle tańca i weselnych zabaw, nie widzimy go zaś w twardej, codziennej pracy na roli, nie widzimy go w twardej przednowku, kiedy ostatnią krowinę zabiera żyd-lichwiarz, a dzieci mrą na tyfus głodowy. Widać już wyraźnie pośród chałup wiejskich karczmę, ale nie działa ona tu jeszcze destrukcyjnie. Przeciwnie: radość w niej i uciecha, roztańczyło się krakowskie weselisko z przyspiewką i przytupywaniem.

„Uszczknięty“ wątek „ludu“ usiłował prowadzić dalej Jan Nep. Kamiński, zniewolony do tego niedostatkiem dzieł dramatycznych, szczerze narodowych, jak pisze w przedmowie do „Zabobonu“.

A pisał to w czasie, kiedy zajęcie się twórczością ludową niepomiernie urosło, kiedy strupieziały organizm literatury „pięknej“ odmłodzić chciano motywami ludowych pieśni, w czasie działalności Czerwińskich i Czarnockich, w dobie narodzin polskiego folkloru, ale w kontynuacji sztuki Bogusławskiego jednostronności nie zaradził, powtórzył treść za Bogusławskim i, snąc w imię zasady „nos bis in idem“, powtórzył gorzej.

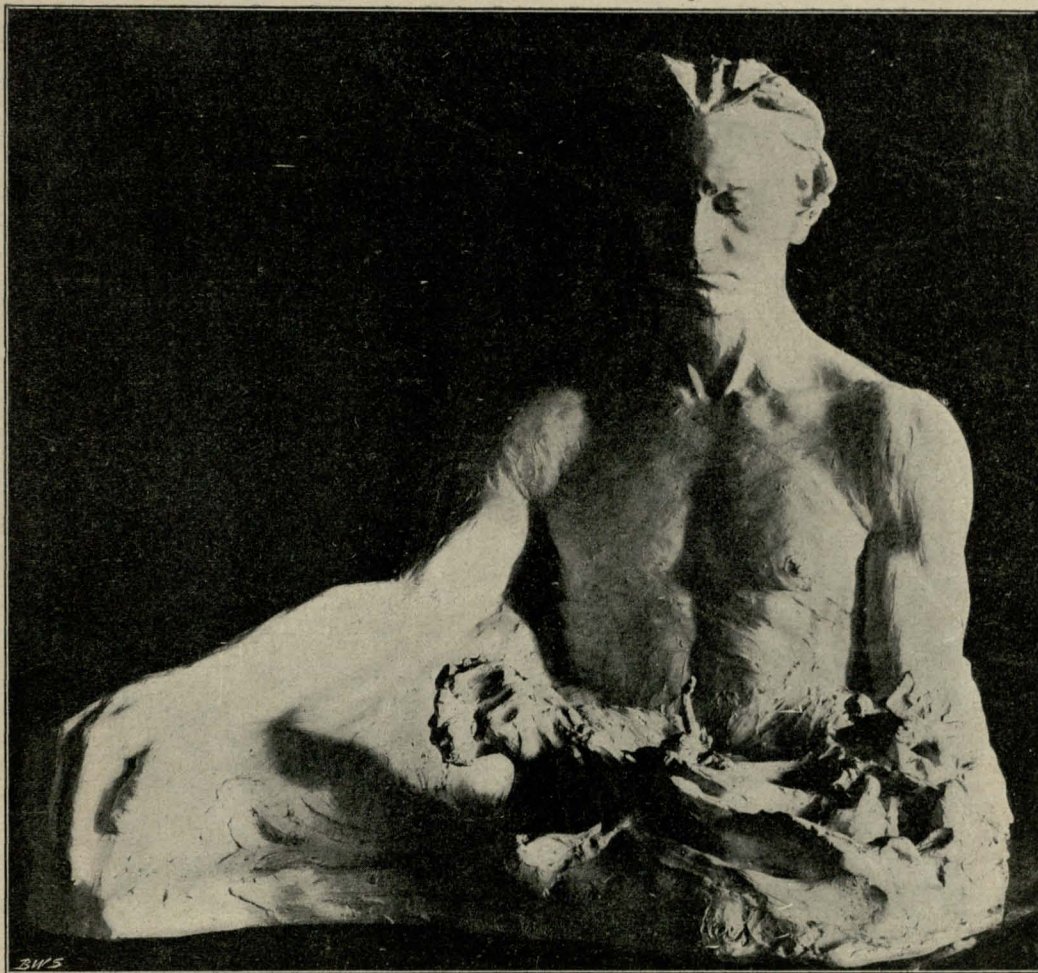
Romantyzm polski, tak bujny w swojej puściźnie, zbyt obfitował w prometejskie wzloty, zbyt pełen był ossyanicznych i byronicznych uśmiechów—ludowego dramatu nie stworzył. Były tylko próby, podejmowane celem zaradzenia temu brakowi, a w nich chłop oświecony zbyt jednostronnie, z mało wyrobioną specyficzną psychologią, marzący i operujący ledwie kilku formami ludowymi.

Wiele wody w Wiśle upłynęło od tego czasu. Rok 1846 przyniósł krwawe rozczarowanie: miejsce idealnego kmiotka Bogusławskich i Kamińskich zajęło krwawe widmo Szeli. Oczywiście mógł modlić się poeta do Pana Zastępów, iżby „rękę karał, nie ślepy miecz“, ale właśnie ta niesłychana bierność i ślepotą miecza zawierała straszną, ale skuteczną, przynajmniej chwilowo, naukę. Tutaj poprostu nic nie zrobiono. Ugór szary, nie tknięty pługiem, a kiedy rewolucyjne słowo nań padło, dość było gorzałki i judaszowych srebrników, ażeby ugór przemienił się w cuchnące bagno, na którym bujnie porosło trujące zielsko bratobójczej rzezi.

Ten chłop był ciemny i głodny, pańszczyzna rozorała mu plecy w krwawe brózdki; trzeba go było podnieść i z miłością do niego przemówić umieć.

Tego zadania podjął się Władysław Anczyca. Poszły na scenę te wykrawki życia ludowego, ukazał się po raz pierwszy na deskach scenicznych chłopca cały, jakim był wistocie, bez stylizacji, bez idealizowania,

BEETHOVEN

NINA ALEKSANDROWICZ-
HOMOLACZOWA

chłop z właściwymi mu wadami, z wrodzoną chciwością, opilstwem, lenistwem, ciasnotą i lekkomyślnością, ale z drugiej strony te wszystkie czynniki, które mu jego rozwój moralny i intelektualny tamują, te wszystkie troski i biedy, do dziś, niestety, nie przestają, te wszystkie promotory zła: karczna i jej destrukcyjne dążenia, brak szkoły i kredytu, ekonomiczna słabość i pokątny doradca.

Ten chłop „arystokrata“ z owych czasów, czy flisak lub Łobzowianin, czy gorączką emigracyjną ogarnięty, to wszystko kopie z natury. Zaś zacna tendencja tych „obrazków ludowych“ Władysława Anczyca, jasno i poprostu wyrażona, waruje tym pierwszym właściwym sztukom ludowym nigdy nie starzejącą się skuteczność w służbie dla idei ludowej, a twórcy ich prawo do wdzięcznej pamięci u potomnych.

Niema powodu rozdzielać na tem miejscu broszury od publicystyki ludowej Wł. Anczyca. Jednorodne to kierunki, a broszura bywa często tylko osobną odbitką artykułów Kazimierza Góralczyka. Znaczenie wpływu prasy na szerokie masy jest rzeczą oczywistą, doniosłość zaś tego wpływu jest ściśle zawiązaną od stopnia krytycyzmu tej kategorii czytelników, dla której odnośne wydawnictwo peryodyczne jest przeznaczone. Nie mogą chyba istnieć wdzięczniejsze zadania, aniżeli te, które zakreśla sobie prasa ludowa. Urabianie myśli, kształcenie charakterów, jak najszerzej pojęty dydaktyzm, poprostu pozytywna, twórcza praca nad duszą ludzką, która pozostaje jeszcze niemal w pasywnym stanie gibkiego materiału, powolnego ręce artysty, który mu dowolną formę nadać może.

Ta właśnie bierność medyum pociąga za sobą w tym wypadku ogromną odpowiedzialność; pomijając zupełnie złą wolę, może tutaj wszelka niezręczność w pociągnięciu rylcem być fatalną w skutkach. Z wosku czy gipsu, można zarówno wyrobić precudowny kształt Apolla, jak i ohydny szpetotę Teresyta.

Rok 1846 jest dowodem tej nie tyle złomyślnej w zarodzie, ile niezręcznej, niesłychanie płytkiej i lekkomyślnej roboty.

Wład. Anczyca posiadał zasadniczy warunek, pod jakim wolno uprawiać ludową publicystykę. On znał chłopca na wylot, jak mało kto, i umiał do niego przemawiać. Poza tem zaś był bezwarunkowo niezawisły, do polityki partii czy koteryi z zasady się nie mieszał, a jego ludowa twórczość publicystyczna wypływała z najczystszej i najsłabszej źródła, jakie da się pomyśleć: z ukochania siermiężnej braci, z serdecznej troski nad jej dołą, z gorącej chęci poprawy tego, co złe, z dążności do wyrobienia tego idealnego typu obywatela po siermiędze, rozumnego, trzeźwego, z prostą, ale niewzruszoną etyką, z poczuciem pewnych zasadniczych zobowiązań względem ziemi, nie tylko jako konkretnego i wymiernego pojęcia, ale również jako pewnej zbiorowej idei.

Kazimierz Góralczyk jest nie tylko pseudonimem; to nie jest coś jedynie na zewnątrz narzuconego, jak się na zewnątrz kostium krakowiaka narzuca, idąc na maskaradę, a równocześnie głowę z tyłu w modny przedział fryzuje i kerezyę parmeńskimi fijołkami nakrapia. To jest chłop z krwi i kości, stary, rozumny kmięć, który wiele widział i słyszał, ale duszy chłopskiej wcale

nie zatracił, języka dochował, do swoich po swojemu przemawia. Wł. Anczyca, z chwilą objęcia redakcji *Kmiotka* w Warszawie w r. 1860, mógł napisać w nagłówku: „Tu zginął Wł. Anczyca, autor wesołych fars scenicznych i poważnych dramatów historycznych, dowcipny felietonista *Tygodnika Ilustrowanego*, twórca potężnej pieśni o Tyrteuszu, a narodził się Kaz. Góralczyk, chłop z Lipiec czy Wólki, który chce wam, kmotry miłe, przy niedzieli, albo świątku na wyranku powiedzieć, jak to ma być, ażeby dobrze było“.

Jest tych 5 roczników *Kmiotka*, które Kaz. Góralczyk niemal wyłącznie swoimi artykułami wypełnił, księgą, w której pulsuje życie szerokiej, szarej masy, życie szare, jak ów zagon-żywiciel, jak chłopka przyodziewa i jak owa chłopka doła.

Z prospektem pośpieszył redaktor dopiero po upływie kwartału, kiedy już 13 numerów pisma rozeszło się pomiędzy czytającymi.

Prospekt ten, na ulotnej ćwiartce drukowany (egzemplarz w posiadaniu rodziny), wart dzisiaj przedruku; zawiera on credo redaktora *Kmiotka*, pierwszorzędnej wagi i dla Góralczyka, i dla sprawy włościańskiej wogóle, i dla peryodycznego czasopiśmiennictwa ludowego w szczególności.

Jasno i wyraźnie, a poprostu, bez właściwego wszelkim prospektem bombastu i frazeologii, bez śladu jakiegokolwiek partyjnej kokieteryi, sformułował Kazimierz Góralczyk swoje stanowisko wobec sprawy ludowej, którą uważał za najżywniejszą dla przyszłości całego narodu.

(DN)

— Jestem głęboko przekonany—odpowiedział Świrski.

Gdy sekretarz zeszedł na dół, zaciekawiona pani Linowska spytała go, o czym tak długo rozmawiali. Nie chcąc jej niepokoić, sekretarz zamilczał o głównym przedmiocie rozmowy, lecz odpowiedział:

— Pani dobrodziejko!... skończyłem czterdzieści pięć lat, dużo kręciłem się między ludźmi, kształciłem się zagranicą.. Słowem, posiadam niejaki doświadczenie i trochę znajomości charakterów... Pomimo to, gdyby mi kiedy powiedziano, że będę spotykał taką młodzież, jaką widuję dzisiaj, roześmiałbym mu się w oczy.

— Mówi pan o Świrskim?... — wtrąciła. — I ja nie dziwię się, że przewrócił on w głowie memu Władkowi...

— Osiemnastoletni chłopak—prawił sekretarz, wytrząsając ręką—osiemnastoletni, a daje pani słowo, że niekiedy odzywa się, jak dojrzały człowiek, jak polityk... Wprost mówię: nie wiem, co o tem myśleć i skąd tego rodzaju młodzież wzięta się u nas?... Proszę pani, to już nawet nie młodzież, to ludzie dojrzały, wytrawni, skończeni... Mnie poprostu wstyd, że muszę coś podobnego przyznawać...

— Ja już i nie dziwię się — odpowiedziała Linowska. — Przecież powiedział mój Władek, że dla ich pokolenia każdy miesiąc znaczy tyle, co rok... Koniec świata!

— Nie, pani... To tylko dowód, że my, starsi, jesteśmy bardzo zacofani—rzekł sekretarz.

— Albo że młodzi zanadto prędko dojrżeli... — odparła Linowska, smutnie potrząsając głową.

Pewnego dnia, już po Nowym Roku, panna Jadwiga zaproponowała Świrskiemu spacer do lasu. Z początku szli drogą, gdzie po jednej stronie rosły wysokie jodły, po drugiej gęste świerki, zasypane śniegiem. Potem boczną ścieżką wydostali się na obszerną polanę, kędy nad zamarzłym strumieniem pochylały się wierzby, okryte niby białym listowiem. Wyglądało to, jak królestwo pustki, do której, z ukrytych między drzewami ścieżek, zagłada cisza.

— Brrr!... jakże tu smutno... — odezwał się Kazimierz.

— Doprawdy?... — spytała panna Jadwiga.—W lecie jest to najweselsza polanka... Ileż razy zbieraliśmy się tutaj na majówki, lipcówki, a nawet wrześniówki... Bywały tu, jak je nazywamy, pensyonarki pani



PORTRET (z wystawy jubileuszowej w Wiedniu)

KAZIMIERZ POCHWAŃSKI

Linowskiej, a także kawalerowie z Hut Żelaznych... Tu jadało się zebrane poziomki, tu piekliśmy rydze i kartofle...

— Czy... i pan Klemens bywał na tych majówkach?

— Parę razy był. Ale on wolał ze starszymi panami oglądać drzewa, aniżeli, jak mówił pan Linowski, „bzikować“ z młodzieżą. I pan zapewne wolałby towarzystwo poważniejsze?...

— O ile pani nie byłoby w mniej poważnym... — odpowiedział Świrski i, pomimo mrozu, zarumienił się.

— Proszę!... „Pan naczelnik“ zaczyna bawić się w komplementy?...

— Choćbym chciał, nie potrafiłbym... Ale jestem szczery, więc powiem, że nieraz żałowałem, iż znam panią tak niedawno. A nadewszystko żał mi owych wesołych majówek na tej smutnej polance.

— Smutnej!... — powtórzyła Jadwiga.— Nawet zdaje mi się, że jeszcze w tej chwili słyszę śmiechy i krzyki... Niech się pan nie obrazi, ale czasami myślę, że pan rzadko bywa w towarzystwie młodych panien...

— Prawie nigdy... A jeżeli znajdę się między pannami, jestem tak niezgrabny, że wszyscy ze mnie żartują...

— Z pana?... Nawet nie wyobrażam sobie... osoby, jako tako wychowanej, która nie podziwiałaby pana...

— Ostrożnie! — zawołał Świrski, chwytając za rękę pannę Jadwigę, która, poślizgnąwszy się, o mało nie upadła.

— Dziękuję—rzekła, otrzepując śnieg z rękawów. — Jest pan dla mnie zanadto dobry...

— Jestem tylko wdzięczny. Pamięta pani chwilę, kiedy to Dębowski zapytał, czy mam wyjechać do Galicji, czy zostać?...

— No i cóż, powiedziałam, że powinien pan zostać... — odparła zmieszana Jadwiga.

— I wybiegła pani z pokoju... Tej lzy nie zapomnę pani...

— Tylko jednej?... — przerwała mu Jadwiga.—A ja rozplakałam się wtedy, jak dziecko, bo przyszedł mi na myśl nieszczęśliwy Jędrzejczak... Boże, cóż to za bohater!... zginął, ażeby nie zdradzić waszych zebrań... I wobec ofiary Jędrzejczaka ten staruch Dębowski miał odwagę zachęcać pana do opuszczenia prześladowanych kolegów...

— Trudził się niepotrzebnie...

— Ja myślę!... — szepnęła Jadwiga. A po chwilowem milczeniu odezwała się głośno:

— Nie uwierzy pan, jak często łamałam głowę nad pytaniem: dlaczego tyle młodzieży inteligentnej przystąpiło do rewolucji...

— Której niema!... jak twierdzi pan Dębowski...

— Ach, on! Mojem zdaniem młodzież ucząca się powinna była przedewszystkiem zająć się nauczaniem ludu.

— Byli tacy, którzy uczyli, a musieli być i tacy, dla których karabin wydaje się dziś już stosowniejszym narzędziem wolności, aniżeli książka... Ja bo już wychowywałem się na żołdaka, ale niektórych z moich kolegów spisek rewolucyjny uchronił od wielkiej zbrodni, jeżeli nie podłości...

— Nie rozumiem!... — wtrąciła Jadwiga, ze zdziwieniem patrząc mu w oczy.

— Zaraz pani zrozumie—ciągnął Świrski.—Aż zimno mi się robi, kiedy mam mówić o podobnych szkaradziństwach. W gimnazjum był inspektor, który ze szczególną nienawiścią prześladował Polaków. Podслуchiwał polskich rozmów, zabierał polskie książki, język polski nazywał świńskim, a tak zwanych przez siebie „bunto-

wników“ pakował do kozy, psuł im sprawowania, zatrzymywał promocyje, nawet wypędzał ze szkoły. Wszystko to uwieńczył zorganizowaniem szpiegostwa do takiego stopnia, że koledzy przestali ufać kolegom. Kształcił nas, jak pani widzi, na zdecydowanych spiskowców...

— Teraz będę zwięzłym w opowiadaniu... Szanowny inspektor doprowadził młodzież do tego, że kilku desperatów utworzyło sprzysiężenie... A wie pani, w jakim celu?...

— Ażeby go zabić...

— Nie... Ażeby zabić — jego córkę, którą bardzo kochał...

— Jezus Maryja!... — szepnęła panna Jadwiga.

— Widzi pani, jak nas uczono moralności... — ciągnął Świrski.

— I cóż się stało?...

— Na szczęście dowiedział się o tem pewien student uniwersytetu, Rosyanin, który spiskowcom powiedział krótko: „Głupcy jesteście!... Jeżeli zabijecie córkę, inspektor dostanie order, awans i pocieszy się bardzo prędko... Jeżeli zabijecie jego samego, na jego miejsce znajdzie się inny, jeszcze gorszy szubrawiec... Więc lepiej pomyślcie o obaleniu całego systemu, który takich ludzi hoduje“... No i w ten sposób wielka liczba naszych wciągnęła się do spisku, przeciw któremu wystąpił nasz związek: Rycerzy Wolności... My także chcemy walczyć, ale otwarcie i uczciwie... nie bombą albo brauningiem... nie zniemacka...

— Ale czy taka walka jest dziś możliwa?... — spytała Jadwiga.

— Ja do innej nie będę należał... — odparł stanowczo Świrski.

Wrócili na gościniec. Gdy przeszli paręset kroków, usłyszeli szlochanie, a z pod krzaka jałowcu wypełznął do nich mały, bardzo mizerny i obdarty chłopiec, który z płaczem zaczął prosić ich o cośkolwiek do zjedzenia.

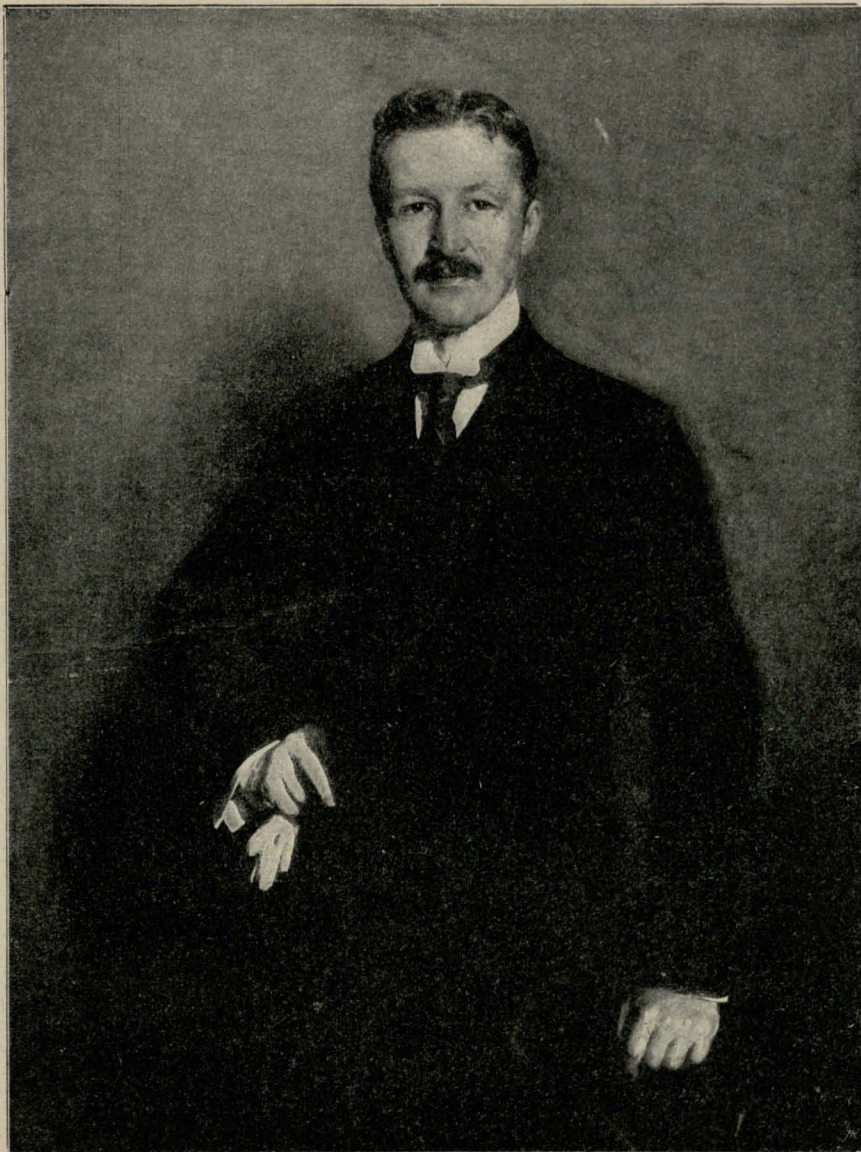
— Choćby skóreczkę chleba... choć łyżkę ciepłej wody!... — jęczał.

Panna Jadwiga kazała mu iść razem z nimi na Leśniczówkę. W drodze opowiedział, że pochodzi z osady Głuskowa, że ojca wzięto do więzienia za politykę, matka chora, dzieci troje zostało w domu, a on idzie do Żelaznych Hut szukać pracy.

— Myślałem, że zmarznę — szlochał — ale Pan Bóg zesłał państwa, i może nie zginę...

— Gdybyśmy mieli inną gospodarkę rządową, nie trafiałyby się takie rzeczy — szepnęła Świrski.

— Dzieci, starcy, kalecy, którzy przez całe życie pracowali dla społeczeństwa, marnieją z nędzy — dodała Jadwiga. — Chwali pan wojsko, a mnie się zdaje, że, gdyby nie



PORTRET (z wystawy jubileuszowej w Wiedniu)

KAZIMIERZ POCHWAŃSKI

było wojsk, nie byłoby i nędzy, na jaką parzymy bezradni...

Świrski milczał. Gdy doszli do Leśniczówki, Jadwiga powierzyła zbiedzonego chłopaka kucharce, nakazując go przekarmić, a sama udała się do Linowskiej z prośbą o jaką bieliznę. W godzinę mały tułacz, imieniem Stasiak, doskonale najadł się, został umyty, jako tako przyodziany i otrzymał wcale niezłe buty. Pozwolono mu przemocować, a Świrski dał mu rubla. Stasiak rozpląwał się w podziękowaniach i błogosławieństwach, nie gorzej od fachowych żebraków.

Był to dzień pełen wypadków. Wieczorem przyjechał podleśny pan Milczek, mieszkający w głębi lasów, i opowiedział, że na Nowy Rok miał u siebie niezwykłych gości. Odwiedzili go panowie z „oddziału“...

Obie panie i Świrski słuchali z wyjątkową uwagą.

— Było tak — opowiadał Wilczek. — Posłałem Frankę po Józka do stajni, czekam, niema ani Józka, ani Franki. Myślę: dobrze bestye zaczynają Nowy Rok!... i wychodzę przed dom. A tu, niby z pod ziemi, staje ogromny mężczyzna z rewolwerem w garści i mówi: dzień dobry panu podleśnemu!... Przyszliśmy powinszować, a pan podleśny za to ugości nas... Ale co mam dużo gadać; za pierwszym pokazało się trzech innych, same młode chłopaki; siedzieli u mnie cały dzień, jedli... pili... Prawda, że nie wzięli mi

mi ani grosza, a nawet broń zostawili.

— Rozmawiał pan z nimi?... — spytała Linowska.

— Jak teraz z państwem. Opowiadali, że należą do wielkiego oddziału rewolucyjnego i że lada dzień... lada tydzień pójdą na gubernię, a stamtąd na fortecę... Już — mówili — większa część wojska jest za nimi, a w całej Rosyi rewolucya aż huczy... Pałają dwory... zabierają szlachcie grunty...

— Piękna rewolucya! — wtrącił Świrski. — Mówi pan, że pierwszy, który się pokazał, był ogromnym mężczyzną... Nie pamięta pan: jak wyglądał z twarzy?...

— Oj... oj... jeszcze widzę go przed sobą. Twarz pełna, czerstwa, rumiana, zarost czarny, głos tęgi, mowa ordynarna, choć ubrany był, jak szlachcic...

„Ten wygląda mi na Zająca“... — pomyślał Kazimierz. I dodał głośno:

— Czy i inne fizyognomie pamięta pan?...

— Bagatela!... zaraz państwu i o nich opowiem. Był jeden niewysoki, włosów kasztanowatych, z szafirowymi oczyma... ogromny zapaleniak... Nic, tylko biłby się!...

„Lisowski“... myślał Kazimierz.

— Drugi był trochę wyższy, szczupły, szatyn... Ten zachowywał się najstateczniej, i zauważyłem, przyrywał jedno oko...

(CDN)

LUCYAN RYDEL:

Urywki z ód Pindara.

I. NA WYSPIĘ AJGINE.

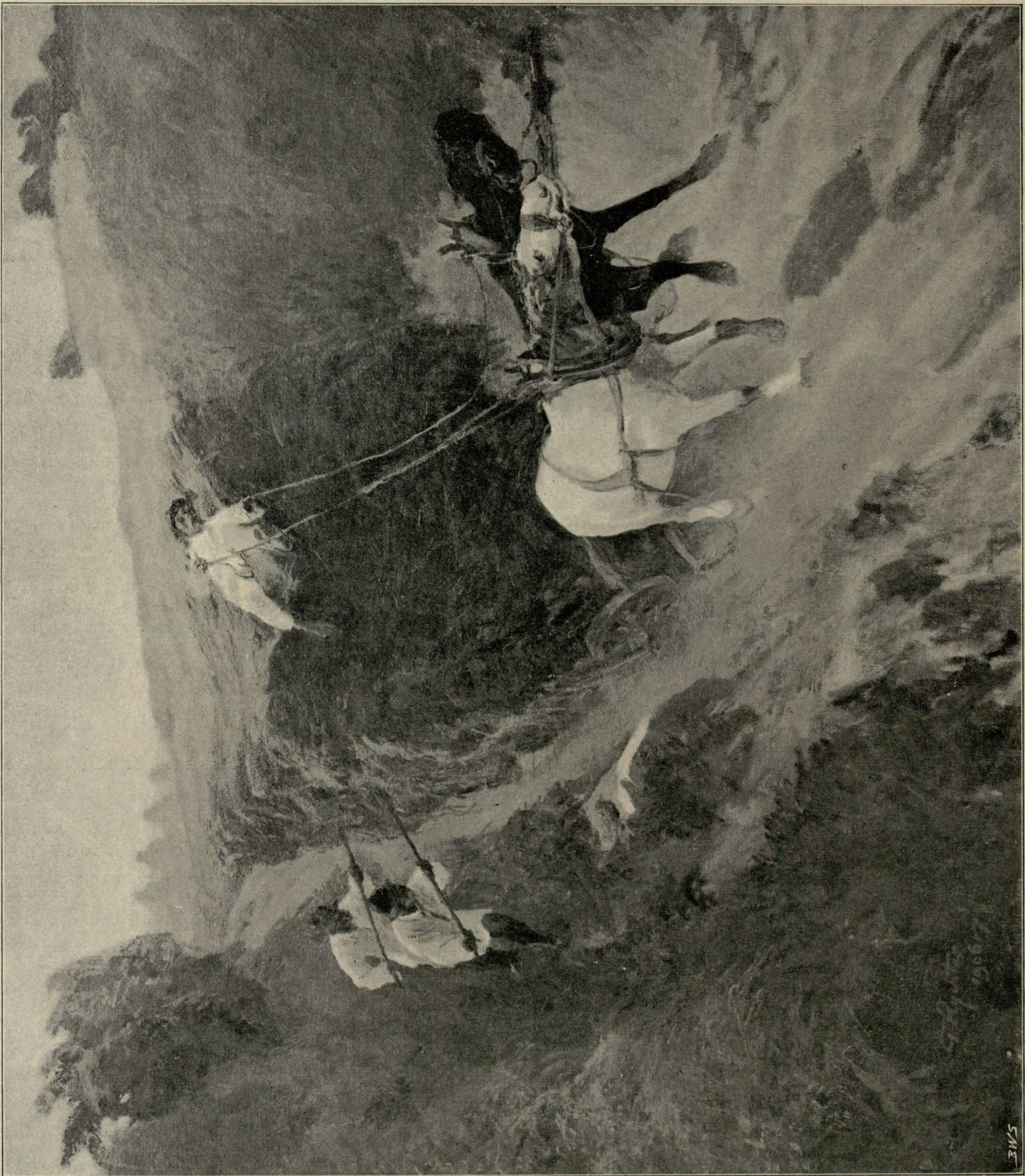
Sławne jest Ajaka imię i sławna Ajgina
Z naw swych rozgłosna daleko.
Za bożą niegdyś opieką

Szła osadę tam założyć dorycka drużyna
Pod Ajginiosa i Hyllosa wodzą.
Pod ich ustawą dotąd oni chodzą:

Praw ni boskich, ni ludzkich nie przestąpią krokiem,
W męstwie są, jak delfiny
W pośród morskiej głębiny,
Sędzie Muz, igrów, gonów — świetni mądrym
wyrokiem.

II. MOC BOSKA.

Jest-ci to w bożej mocy:
Z wnętrzości czarnej nocy
Światło dobyć, niczem nie zaćmione,
Albo zasunąć z góry
Mrok ciemności ponurej
Na dzień jasny — jak czarną zastłonę. —

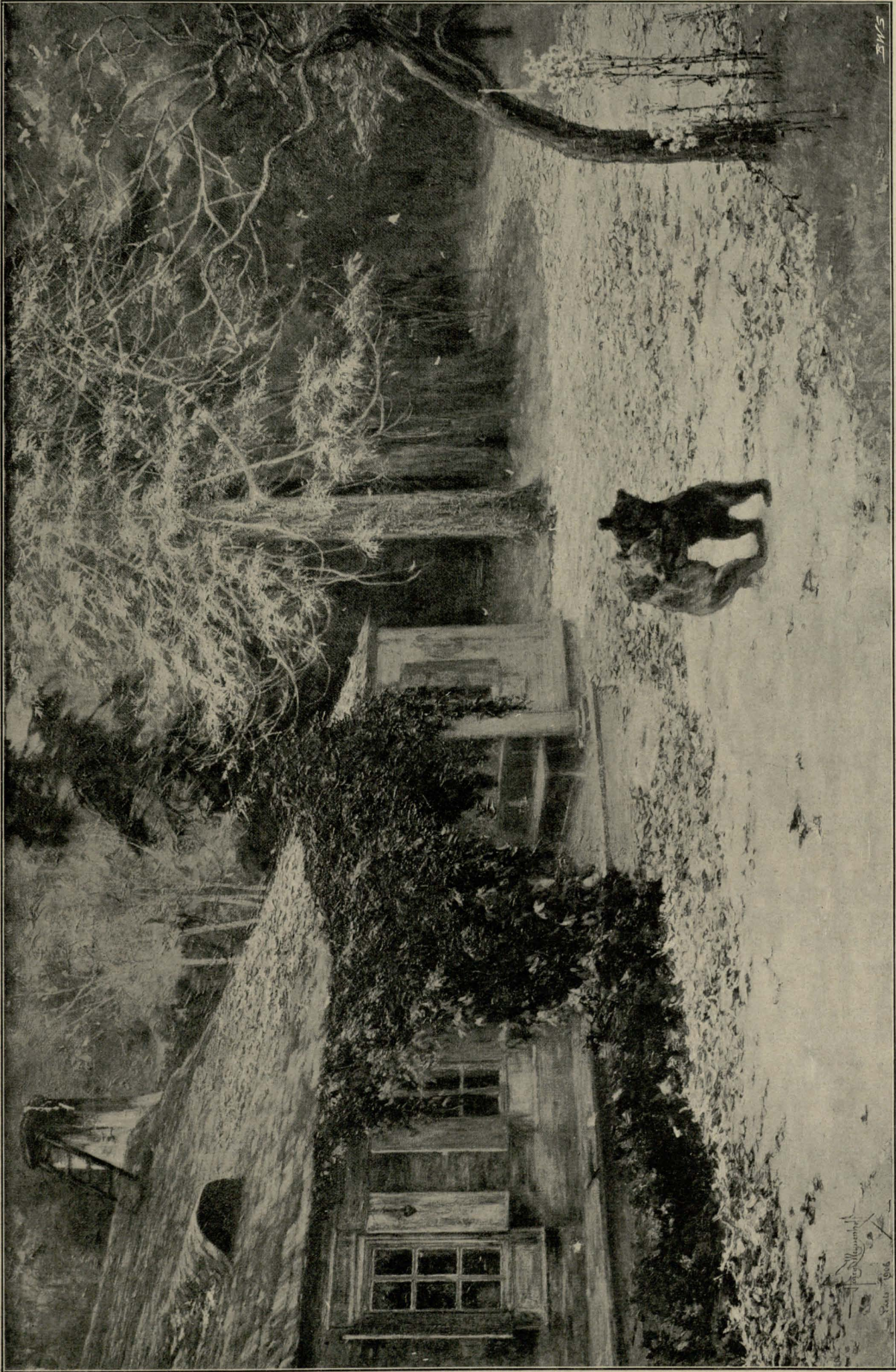


PO SPADZISTEJ
DRODZE

TADEUSZ RYCHTER

Z Salonu T. Z. S. P.

BWS



LITEWSKIE ZACISZE

HENRYK WEYSENHOFF

Z CYKLU: CHWILE.

II.

OTO WIECZORNY ZMIERZCH...

Oto wieczorny zmierzch, co płachty sine
Kładzie na pola... Jeszczem nie zapalił
Światła w pokoju, albowiem w godzinę,
W której się nocny mrok nie rozzuchwalił

I ócz ślepotą nie pokarał świata,
Rad jestem patrzeć i słuchać, jak ze mnie
Coś się odrywa i milczkiem ulata
W te przedalekie półblaski, półciemnie.

Nie wiem, gdzie spocznie ta cząstka płomienia,
Z której nam ręce ulepiły Boże
Gasnącą duszę... Krąg się rozprzestrzenia
Poza kres wzroku i słuchu; w przestworze,

Nie ogarniętym snać i łukiem ramion
Samego Stwórcy, szaleją radośnie
Tumany śniegu; horyzont, nie splamion
Uludną zorzą, czeka w mgłach, aż pośnie

Wszelki nurt morza, widzialny jedynie
Mojemu wnętrzu—zapewne w tej chwili
Chłonie on słońce niewidne: nie spłynie
Żar jego na mnie, tęczą nie umili

Onych wybrzeży, szumiących daleko
Poza tą pustką mej izby... Gdzie jestem?
O ty, kłamliwa zapomnienia rzeko,
Co ponoć chłodnym ogarniasz szelestem

Świadomość szczęścia i rozkoszne ciepło
Minionych godzin wiosennych na zawsze
Topisz w swej głębi, ażeby zakrzepło
W martwość fal twych przyciekłych... Łaskawsze

Chyba masz koła dla tych, co pobledli
W walce z pokusą wyrzeczeń, niechętni
Ciągłym zmaganiom, z zamkniętem usiedli
Okiem nad życia przepaścią, gdzie tętni

Górski twój rozlew, i sercu wydarty
Głaz swego bólu rzucają omackiem
W lej twoich wirów... Lecz kto z czujnej warty
Schodzić nie myśli w nędznem, świętokradzkim

Przeczeniu bytu, co nie pierwej spocznie
Nad ową cichą, tajemniczą miedzą,
Przy której blade, niepewne wyrocnie
Ze swemi wróżby niepewnemi siedzą,

Póki go słońca wielkie, twórcze ognie
Nie usynowią—na ziemi, dopóki
Nie będzie władcą mroków i nie pognie
O swe kolana, nie strzaska na sztuki

I precz nie rzuci żelaznego kija
Tych swoich ślepych przewodników, Losów—
Kto, mimo klęski, z żądzą się nie mija,
Aby raz jeszcze z pogardą dla ciosów

Zapamiętałej, nieustannej burzy,
Zmóźdz się z swą własną duszą, tak zdradliwie

Zawijającą do portu śród wzgórzy,
Odzianych w kwiaty i świeże liściwie

Drzew cytrynowych—kto ciężar swych powiek,
Snem ujarzmianych, pragnie wzniesć nad wielką,
Mgławą, bezkresną doliną, gdzie człowiek,
W oszołomieniu tęsknicy, kropelką

Asfodelowej upaja się woni
I już bez zmysłów, zwierz ubity, leży—
Kto sił ostatniem wytężeniem broni
Szczelnie zawartych swego domu dzwierz,

By nie wtargnęła w nie ta zła, nieznana,
W bezmyślnej trwodze przeczuta potęga,
Nieprzyjaciółka dziecięcego rana,
Męskich południ wróg, co chciwie sięga

Ku zastawionym stołom, ku biesiadzie
Wzroku i słuchu, pożera ich strawę
I, na zabójczych swoich hufców przedzie
Mająca Boga, czyni sobie krwawe

Igrzysko z wzroku i słuchu i potem
Nagle je gasi—kto przy strasznej drodze,
Gdzie bitne wojska kładły się pokotem,
Ma wolę siadać z uśmiechem, że wodze

I zaciężnicy spełnili ofiarę
Wielkiego życia, temu fal twych plonij,
By szkło, bezbarwne, obojętne, szare,
Druhy nadziei, w beczynie zrodzonej,

Nie będą gościem, którego witamy,
Jak przyjaciela. Ty z odległych stolic
Z krajów, bogatych w rozkoszne omamy,
Z ziem nie zbadanych, z marzennych okolic

Dziwnych nam wieści nie niesiesz o cudach,
Przezeń odkrytych... O rzeko kłamliwa,
Wspomnienie słońca gasisz w wielkoludach,
A duchy wątłe, zasnutę w przedziwa

Nocy miesięcznych, wieszysz na pustkowie,
Po których Śmierć się wałęsa... Nikt nie wie,
Kim jest, olbrzymem czy karłem, lecz zdrowia
Niech każdy pragnie, ażeby zarzewie

Siły rozdmuchać, drzemiące—bez wiedzy—
W duszy najstarszych... O rzeko ty smutna!
Ciężkim się toczysz rozplywem ku miedzy
Tych łąk rozległych, gdzie całunne płótne



Bielą się w słońcu nieznanem! Okręty
Zabierasz dumne ze sobą i łodzie,
Marne łupiny orzechu, prześwięty
Szał i tę lichą złość, co ma na spodzie

Żal zawiedzionych nadziei!... Lekarze
Serca ludzkiego mówią, żeś jedynem,
Żeś jest najszczerszem ukojeniem; w parze
Z swą zbawczą mocą, która jest beczynem,

Nic tu nie chodzi, chyba Śmierć... Odpowiedz,
Czemu w tej chwili półświatła, półmroku
Tak mnie omijasz? I owszem. Wędrowiec,
Który się wyrwał z pijanego tłoku

W karczmie przydrożnej i sam, wpółpijany,—
Nie chciał trzeźwością ranić towarzyszy—
Podąży chwycenie śnieżystymi łąny
Ku jakimś nowym roiskom, gdzie słyży

Jakieś niezwykle hymny, gdzieś dostrzega—
Żrenicą przeczuć—jakieś światła nowe,
Každy napina nerw, aby u brzegu
Przepastnych dołów, nim jeszcze połowę

Drogi swej przeszedł, nie stać się zdobyczą
Zdradnej senności... A ty, zapomnienie,
Zdradną li jesteś sennością!... Niech krzyczą
We mnie te wszystkie widma, które w cienie

Snać już odeszły—tak mi się zdawało
Jeszcze przed chwilą!—Teraz, gdy, do szyby
Skoń przycisnąwszy, patrzę na to ciało
Potwornych zmierzchów, zakowane w dyby

Przepotwornego milczenia, niech we mnie
Szaleje orgia obłąkanych domu:
To, com uczynił, i to, co daremnie
Pragnęło spełnień w godzinie rozgromu

Siły i woli, niech mi dziś wyrzutem
Będzie lub łaską, niech krwawi czy koi—
Świadectwem życia jest, w mgły nie zasnutem
Przed okiem widza! A my wszak ostoi,

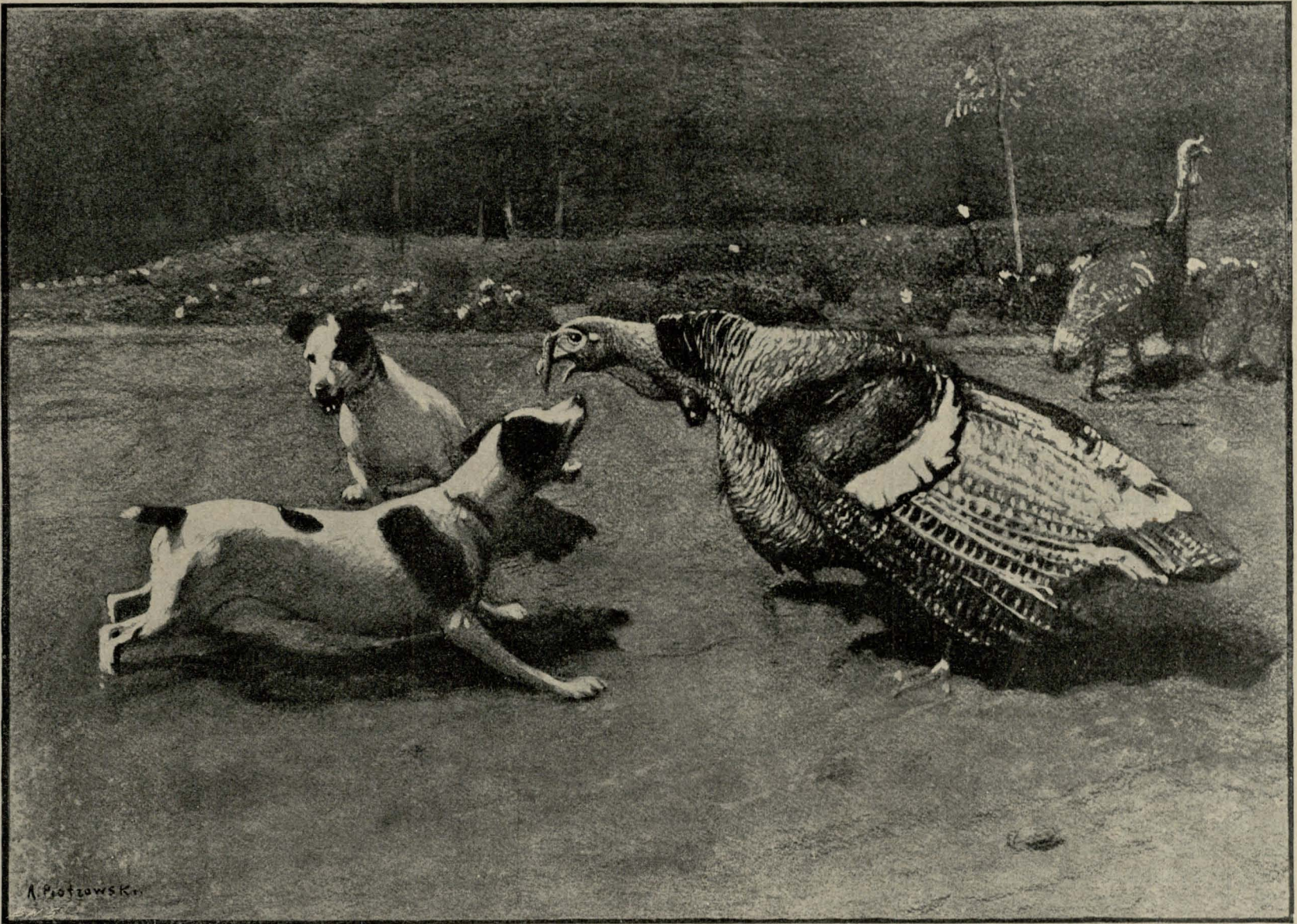
Która się zowie ślepotą i końcem,
Jeszczeć nie chcemy, ma duszo! My jeszcze
Wszak mamy żądzę bytu, co się słońcem
I dnia początkiem nazywa, co dreszcze

Budzi na głębiach mórz i tęcze złote
Hojnie rozsiewa na szare, zmartwiałe
Piaski wybrzeży...

Lubię swą tęsknotę,
Serca naszego niezaprzeczną chwałę,

Uwalniać z więzów w tej zmierzchu godzinie,
Gdy jakiś ogrom nieznanego świata
Wstaje za pustką mej izby, ninie
Tak pełnej gwaru... Lubię, gdy ulata,

Gdy się odrywa ode mnie to płomień,
Które odwieczne stworzyło zarzewie — —
Lubię?... doprawdy!... Nie! Na jakim złomie
Spocznie ta cząstka, ach! tego nikt nie wie...



W OBRONIE RODZINY

ANTONI PIOTROWSKI

JAN LEMAŃSKI: Bajeczki o psach i o ludziach.

I.

Wśród ludzi dobrym człowiekiem jest człowiek dobry, a złym—zły. Z psami jest na odwrót: dobrym psem jest pies zły, a pies dobry jest psem złym, jest psa nie wart, jest na nic.

Ludzie są dobrzy prawie wszyscy, z wyjątkiem niewielkiego odsetka ludzi złych, którzy jednak przeważnie siedzą po więzieniach i innych przytułkach *dobroczyńnych*. Psy złe są prawie wszystkie, z wyjątkiem niewielkiego odsetka psów dobrych, które się, jako szkodliwych życiu darmozjadów, tępi. *)

Otóż był sobie pewien człowiek nadzwyczajnie dobry, a raczej dobry zwyczajnie, ponieważ ludzie są dobrzy zazwyczaj. I, będąc

jąc tak dobrym zwyczajnie, dobry ten człowiek nadzwyczajnie kochał złe psy.

Trzymał je u siebie przy drzwiach na łańcuchu. I ktokolwiek do tego dobrego człowieka przychodził z interesem lub w odwiedziny, psom złym wolno było rzucić się nań i gryźć szatę dolną, z uchwytem łydki lub bez uchwytu, a jeżeli nie gryźć, to przynajmniej, o ile ten ktoś umknął się na czas, mniejszego lub większego napędzać mu stracha.

Dobremu człowiekowi, na widok tego stosunku psów swych złych (a raczej dobrych) do swoich gości dobrych (a może i złych?), twarz przedzielała się na dwoje. Połowa jedna twarzy uzmysławiała serdeczną litościwość i współczujące zakłopotanie, a na drugiej połowie twarzy lekko drgał uśmiezek.

Patrząc na tę twarz, przepołowioną dualistycznie, czuć, że człowiek, twarz tę posiadający, do najgłębszych głębin swoich jest przepełniony dobrocią i wyrozumiałością... dla swoich psów złych.

A psy złe odczuwały tę dobroć i przez miłość dla niej gryzły interesantów oraz znajomych swego dobrego pana—nieźle.

Cóż jednak winien dobry człowiek, że natura w psach umieściła taką nieludzkość, że ta nieludzkość jest właśnie psów najlepszą cechą i że ze złymi psami dobremu człowiekowi tak dobrze?

Ach, im bardziej mamy złego psa, tem bardziej możemy być dobrzy sami; im bardziej za nas czuwa pies, tem bardziej możemy sami spać bezpiecznie; im bardziej pies wgrzyzie się naszym znajomym w rzeczy spodnie, tem bardziej miło i łatwo nam samym wgrzyzać się w rzeczy górne.

II.

Pewien pan miał u siebie psa, z którym urządzał następującą sztukę. A mianowicie: kładł psu na koniuszkiem nosa kęs, przypuścmy, bułki z masłem, lub ogryzek mięsny. Pies miał obowiązek póty ów kęs na końcu nosa w równowadze trzymać, póki pan nie skinął zezwalająco. Wtedy pies podrzucił nosem i kęs zębami—chaps—chwycił.

Sztuka ta, po tysiąc razy widziana przez nas, a nawet i praktykowana, bynajmniej nie należy do kategorii zjawisk, z którychby, przy pewnym nieco ściślejším zastanowieniu, nie

*) Powiedzieliśmy: w przytułkach *dobroczyńnych*. Więzienie, rozpatrywane, jako przytułek dobroczynny, powinno się raczej nazywać przytułkiem „złoczyńnym”, ponieważ siedzą w nim „złoczyńcy”. Albo też, dla uzgodnienia nazwy z treścią, powinno się w tym przytułku dobroczynnym zamknąć dobroczyńców. Inaczej jest *contradictio in adjecto*. Papiernia wyrabia papier, piekarnia—pieczywo, drukarnia—druki, wojsko—wojaków. A przytułek dobroczynny wytwarza—złoczyńców? Musimy go nazwać albo złoczyńnym przytułkiem, albo uznać, że ci, którzy w nim zamykają (dobroczyńcy), i ci, którzy w nim siedzą (złoczyńcy)—to jedno.

można było wydobyć na jaw rzetelnych, kształcących i umoralniających wskazania.

Z jednej strony, z *psiej*, osiąga się za pomocą tej sztuczki przejaw posłuszeństwa, zdania się na wolę pańską i przywiązania do pana; następnie wytwarza się fakt wstrzemięźliwości i powściągnięcia się od pokus; na koniec otrzymuje się fenomen wytrwałości, panowania nad głodem i nad żądzą łakomstwa.

Widok tych wszystkich pięknych i cnotliwych objawów zawdzięczamy niewinnemu figlowi z psem. Jeżeli zdarza się nam wpaść w melancholię, ponieważ nie widzimy nokoło siebie, wśród ludzi, przykładów męskiego zaparcia się swojej natury i ponieważ brak nam przykładów cnotliwej, bohaterskiej wstrzemięźliwości i władania swojemi żądzami, wówczas dość jest urządzić sobie z psem wyżej opisaną sztukę, a melancholia nasza i nasza zwątpiałość (chwilowa) o cnotcie bohaterskiej dzielnie się skrzepi.

Pies napęłnia nas wiarą w możliwość cnot i w możliwość panowania nad swoimi popędami, nawet nad najmocniejszym z nich — nad głodem. Jeżeli — mówimy o sobie — z psa można takie objawy podniosłe wydebić, to i z człowieka, do psa starego, można też coś wykrzesać.

I kiedy tak sobie człowiek pomyśli i westchnie, łatwo już wpada na stwierdzenie następującego przejawu swojej człowieczej dodatności. Toż on właśnie, on — człowiek, a nie pies, wymyślił cnotę, którą dziś oto pies praktykuje. Toż on, człowiek, z drugiej strony właśnie — *ludzkiej* — tą sztuką, o której mowa, z psem, ćwiczy w sobie nie już jakąś tam cnotkę samozaparcia, poskro-

mienia żądz i powściągnięcia łaknień, ale daleko ważniejszą w sobie rzecz wykształca: władzę rozkazywania, przypuśćmy, tylko psu, jednakże władzę, należącą do najwyższych.

Rozkazać coś sobie — głupstwo, ponieważ zawsze, cokolwiekbyśmy kazali *sobie*, możemy mieć pewność, że to wykonamy, nie dziś, to jutro, nie jutro, to za rok, nie za rok, to za sto lat, ale zawsze wykonamy. Tymczasem każmy coś *komuś*. Mamy li pewność, że to będzie zrobione kiedykolwiek?

Wydając rozkaz psu i widząc, że ten rozkaz wypełniony jest ściśle i z należą nam ze strony psa pańsko-bojnością, przekonywamy się, że władza rozkazywania w nas jest jeszcze, że pańskość w nas jeszcze nie zagięła i że, gdy los wezwie nas do rządów jakichkolwiek, będziemy gotowi.

Powiadają, że rozkazywać ten nie umie, kto nie umie słuchać. Jest to błędne, pies potrafi słuchać wzorowo, aż do zaparcia się głodu i łakomstwa, a komuż pies rozkazać coś potrafi?

Zresztą, na upartego i my, ludzie, musimy słuchać: słuchać siebie. Dewiza nasza: słuchaj siebie, a rozkazuj innym, bodajby psom. Tak. A cnotę: „słuchaj innych, a rozkazuj tylko sobie“, zostawiamy psom do praktykowania.

III.

Pewien pan miał dwa psy niezmiernie mu oddane i wierne i kochające. Gdy zachodziła potrzeba wyświadczyć panu przysługę jaką, naprzykład gdy trzeba było przyportować ustrzeloną zdobycz, pies jeden przez drugiego biegł, jak to powiadają, na wyścigi.

Wyścigowość ta miała jednakże i złą stronę. Oto, gdy jeden z psów zębami już aport chwycił, drugi pies, w rozżaleniu i zawiści, miał pierwszego psa za kark lub za inne miejsce tułowia, i dalej go szarpać. Nie doniesiony aport w połowie drogi leży, psy się żrą, a pan darmo czeka.

Co tu robić? Złości do psów mieć nie może, ponieważ obaj go kochają. Ale żaden nie chce się zrzec przyniesienia panu zdobyczy osobiście. O-s-o-b-i-s-c-i-e! O honor uszczęśliwienia pana psy walczą tak, że aż pan zostaje bez aportu unieszczęśliwiony.

Wziął pan i dokupił sobie psa trzeciego.

Trzeci pies był z rasy psów o bardzo długiej nazwie i nawet nie angielskiej, jeno łacińskiej: *duobus litigantibus tertius gaudet*.

Ten trzeci pies, gdy pierwsze dwa były się, korzystał, chwycił aport, któremuś tamtemu z pyska wypadły, i panu odnosił.

Ale i taki stan rzeczy nie można było nazwać idealnym. Aport bądź co bądź dostawał się panu poszarpany, posusfalonny i potetłany.

Widząc to, pan zgromadził swoje trzy psy i rzekł do nich:

— Psy moje miłe! Czy ten, czy ów, czy tamten pies odniesie mi zdobycz, to rzecz dla mnie obojętna. Mnie chodzi tylko o to, aby ją dostać w całości i jak najprędzej. Zrozumcie to! Owszem, możecie biedz na wyścigi, ale, gdy który z was już zdobycz ułapie, dwaj inni wara mu jej z pyska wydierać. I wara mi gryźć się pomiędzy sobą z zawiści. Pamiętajcie, psy, że nie chodzi tu o wasze ambicje pieskie, tylko chodzi o moją korzyść ludzką. *Allez!*

LUDWIK WŁODEK:

W PARANIE POLSKIEJ.

WRAŻENIA I SZKICE Z PODRÓŻY.

IV.

Przechodząc do sprawy przyszłości żywiołu polskiego w Paranie, trzeba uwzględnić dwie strony: narodową i kulturalną. Zdaniem moim, obawy wynarodowienia Polaków parańskich niema zupełnie. Świadczy o tem niewątpliwe i głębokie przywiązanie tego ludu do wiary, mowy i obyczajów ojców, wreszcie doskonała polskość tych pokoleń nawet, które starej ojczyzny nigdy nie widziały i nigdy z pewnością nie zobaczą. Oczywiście typ polskości młodszych pokoleń już jest, a z pewnością będzie zupełnie inny, niż w Europie: będzie bardziej platoniczny, oparty więcej na przywiązaniu do mowy i tradycji narodowych, niż na przywiązaniu do właściwej ziemi ojczystej, do jej krajobrazów, przyrody, pomników, słowem, do tego otoczenia rdzennie polskiego, w którym wychowuje się każdy z nas, Polaków europejskich. Ale też niczego innego wymagać niepodobna. Gdyby z czasem dalekim stosunek Polaków parańskich do Macierzy określił się tak, jak np. stosunek Kanady francuskiej do Francji, gdyby powstała osobna literatura polska w Paranie, osobne życie kulturalne i umysłowe polskie, a jednak zupełnie niezależne od metropolii, to musielibyśmy być zadowoleni.

Ale to są rzeczy dalekie. Tymczasem, jedyny zarzut, jaki można postawić społeczeństwu polskiemu w Paranie, jest ten, że nie posunęło się prawie nic pod względem kulturalnym. Pozostając polskiem, pozostało równocześnie chłopkiem, nie wytworzyło i nie wytwarza własnej inteligencji polsko-parańskiej, jak istnieje już w Stanach Zjednoczonych inteligencja polsko-amerykańska.

Rzecz ciekawa, że te same czynniki, które

sprzyjają zachowaniu narodowości, przeciwdziałają podniesieniu życia kulturalnego. Więc rozrzucenie żywiołu polskiego po koloniach usuwa możliwość oddziaływania otoczenia brazylijskiego, ale zarazem utrudnia szerzenie oświaty i zrzeszania się w stowarzyszeniach. Dalej, brak licznych, przymusowych i dobrych szkół brazylijskich usuwa zupełnie możliwość wynaradawiania przez oświatę obcą, równocześnie jednakże sprzyja zachowaniu ciemnoty rodzimej. Wreszcie niski poziom kultury społecznej brazylijskiej, brak zalet właściwych np. rasie anglo-saskiej, które tak silnie oddziałują na naszego imigranta w Ameryce Północnej, nie wywołuje uszanowania dla obcej kultury i chęci przyjęcia jej za własną, ale przez to znowu utrzymuje kulturę swoistą na tym samym niskim poziomie, na jakim znajduje się nasz chłop, wychodząc z kraju.

Niepodobna przewidzieć, jak się te stosunki ukształtują w dalszej przyszłości, dziś jednak i w latach najbliższych brak inteligencji będzie największym szkopułem w rozwoju społeczeństwa polskiego w Paranie. Nie wierzę w normalny rozwój społeczeństwa czysto ludowego, a więc mało kulturalnego, pozbawionego naturalnych przewodników. Kiedy o tym przedmiocie dyskutowałem, cytowano mi



Największy wodospad na świecie (Santa Maria) na rzece Ignassii.



Popas w lesie.

Górny Śląsk, jako argument przeciwny. Nie wydaje mi się jednak trafny. Była to ziemia odwiecznie polska, wytworzyła się tam własna inteligencja dzięki umiejętnemu wyzyskaniu na rzecz polskości instytucji w założeniu swem antypolskich, jak szkół i uniwersytetów pruskich, wreszcie żywiol polski był skupiony po kopalniach i fabrykach. Oddziaływały więc na Śląsku czynniki wprost przeciwe, niż te, które kształtują społeczeństwo polskie w Paranie. Faktem jest, że inteligencji nie wytwarza, a do emigracji od nas inteligencji normalnej, nie wykołejonej, zarówno Parana, jak i Ameryka Północna, nie posiada żadnych zgoła warunków.

Prowadzi mnie to wprost do oceny Parany, jako terenu emigracyjnego. Kwestyę tę traktowałem obszernie i w memoryale, złożonym Towarzystwom Rolniczym, i w pismach, które bezpośrednio do rąk ludu dochodzą. Tutaj więc powiem tylko krótko, że uważam Paranę za teren emigracyjny właściwy, a nawet bardzo dobry tylko dla rolników, a z pośród rolników przeważnie dla małorolnych lub bezrolnych, bo tylko tu może chłop nasz zaspokoić trawiący go zawsze głód ziemi. I dlatego trafnie wydaje mi się zdanie, wypowiedziane w rozmowie ze mną przez znakomitego znawcę spraw agrarnych, że emigracja do Parany zmniejszyła się, a nawet ustała u nas z chwilą wzmożenia się ruchu parcelacyjnego. Faktem jest, że w chwili obecnej, w chwili zmniejszenia się emigracji do Ameryki Północnej, z powodu kryzysu ekonomicznego, w chwili olbrzymiego wychodźstwa na zarobki sezonowe — prądu emigracyjnego do Parany w Królestwie niema; nie widzimy go również wśród Polaków galicyjskich.

Ze stanowiska społeczeństwa polskiego w Paranie jest to złe. Dla utrzymania polskości, nawet dla podniesienia poziomu kultury Polaków parańskich niezbędne są dopływy żywołu polskiego z ojczyzny. Tem bardziej potrzebne, że każda późniejsza fala emigracyjna wyrzuca na brzeg parański żywoły ludowe coraz kulturalniejsze, coraz bardziej przejęte poczuciem konieczności oświaty, poprostu coraz bardziej przyzwyczajone do szkół, wreszcie przeniknięte czystą polskością, nie skazaną jeszcze żadnymi domieszkami egzotycznymi.

Na zakończenie pragnę jeszcze dokładnie określić charakter emigracji do Parany. Wśród publiczności naszej jednym mianem emigracji określane jest wychodźstwo do Ameryki, do Parany, i wszystkie te zjawiska stawiane są na jednym poziomie.

Tymczasem istnieją różnice zasadnicze. Wychodźstwo zarobkowe sezonowe jest w założeniu swem kilkumiesięczne i ma na celu zdobycie gotówki; wychodźstwo do Ameryki Północnej ma cechy podobne, ale jest długoterminowe i w połowie wypadków co najmniej bezpowrotne; w bilansach Galicyi i Królestwa wyraża się milionami przysyłanych oszczędności na zakup ziemi, tu, w kraju. Emigrację do Parany byłoby bardziej właściwie określać mianem *kolonizacji*; jest ona w zasadzie i w praktyce bezpowrotna i oparta na

chęci posiadania ziemi. Dlatego złudzeniem jest wiązanie z nią tych korzyści, jakie ma Galicya i Królestwo z emigracji do Stanów Zjednoczonych, ale dlatego też zasługuje na baczniejszą uwagę i w danym razie może być nawet umyślnie popierana.

Bo tu chodzi o tworzenie *kolonii polskich*. Kwestya zaś konieczności posiadania kolonii jest dawno przesądzona, a w danym razie można tylko toczyć spór o to, czy może i w jakiej mierze prowadzić politykę kolonizacyjną naród, nie posiadający własnego aparatu państwowego. Nie tu miejsce na rozstrzygnięcie tego sporu. Chodziło mi tylko o zaznaczenie stanowiska, z jakiego emigrację do Parany traktować należy. Dla jej charakteru kolonizacyjnego wzbudzała zawsze i wzbudza większe zainteresowanie; dlatego kolonie polskie w Paranie, pomimo stosunkowo niewielkiej ilości Polaków, są ze stanowiska wyższych i dalszych interesów ogólnonarodowych stokroć ważniejsze, niż imponujące i bogate zrzeszenia Polaków w Ameryce Północnej.

* * *
Pragnę jeszcze poświęcić słów kilka stanowi San Paolo, do którego przybyłem na zaproszenie Polaków tamtejszych, wywołane pośrednio życzeniem rządu stanowego, który pragnie wychodźstwo polskie skierować do San Paolo. Jak dalece rząd tego stanu pragnie kolonizacji polskiej, świadczy fakt, że subwencyonuje miejscowe pismo *Dzwon Polski*, którego redaktor, p. Tadeusz Czarniecki z Warszawy, bardzo miły towarzysz, delegowany był z jego upoważnienia, aby był przewodnikiem w wycieczce po stanie, którą mi urządzono. Wycieczka trwała dwa tygodnie. Wobec rozgałęzionej sieci kolejowej i wobec niewielkiej doniosłości kolonii polskich czas ten uważałem za zupełnie wystarczający.

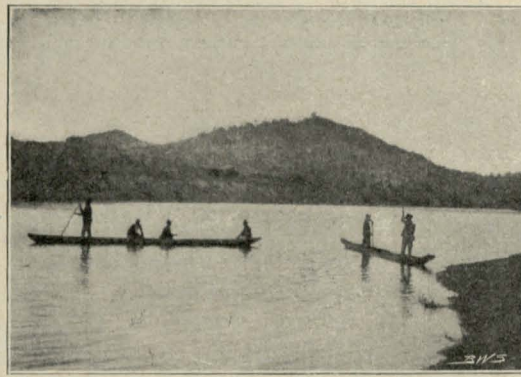
Stan San Paolo jest najbogatszy w Brazylii. Kolonizację prowadzi w sposób bardzo kosztowny; emigranci sprowadzani są własnym kosztem stanu, dom dla emigrantów w stolicy, mieście San Paolo, jest wspaniałe, nie brak w nim nawet żłobka dla małych dzieci; emigranci żywieni są doskonale. Ziemie pod kolonizację wybierane są dobrze, zwykle położone w pobliżu stacji kolejowych; każda, nawet niewielka kolonia posiada własne pole doświadczalne rolnicze, dyrektora, lekarza i aptekę; koloniści doznają nieustannej opieki ze strony rządu.

Pomimo wszystkie zalety, ten system kolonizacyjny jest dla Polaków nieodpowiedni. Ziemia jest zbyt droga, pierwsza rata wymagalna z góry, co dla naszych wychodźców jest warunkiem zupełnie niemożliwym, przybywają bowiem do Brazylii przeważnie zupełnie bez grosza. Ze stanowiska narodowego można zarzucić koloniom tutejszym, że są zbyt małe, pod względem narodowościowym mieszane, co ułatwia wynaradawianie żywołu polskiego, podczas gdy w naszym interesie leżą wielkie skupienia jednolite, w rodzaju parańskich.

Wszystkie te zarzuty powtarzałem przedstawicielom rządu, z którymi miałem sposobność rozmawiać. Zobowiązali się do zastosowania w prak-



Parana. Rodzina indyjska plemienia Guarany.



Przeprawa na łodziach.

tyce wyrażanych ze strony polskiej życzeń, o ile udałoby się skierować nasz prąd emigracyjny do San Paolo zamiast do Parany. Byłoby to możliwe i potrzebne jedynie wtedy, gdyby ten prąd był tak silny, że Parana sama nie mogłaby go zaspokoić. Ponieważ wogóle jednak prądu emigracyjnego do Brazylii w chwili obecnej niema, więc oczywiście o kolonizacji polskiej stanu San Paolo nie może być mowy. Taką mniej więcej odpowiedź dałem w memoryale, wystosowanym już stąd na życzenie rządu panlistaiskiego.

W stanie San Paolo znajduje się obecnie kilka tysięcy Polaków, rozrzuconych po miastach, po plantacjach kawowych, wreszcie po koloniach Jorge Fibiriçao, Sao Bernardo, Paviçara Assu. Ta ostatnia kolonia ma ziemię tanią, kilkaset szaków i najwięcej rodzin polskich (około 50-ciu).

W jednym z miast stanu, Sao Carlos do Pinhal, zrobiłem miłą znajomość. Poznałem tu p. Stanisława Kruszyńskiego, który emigrował do stanu San Paolo przed 33 laty i odtąd stale tu przebywa. Jest to właśnie człowiek bardzo inteligentny, o szerokich poglądach, bardzo przywiązany do stanu San Paolo, marzący o związaniu stosunków handlowych między Brazylią a Królestwem, o wielkiej emigracji. Ale entuzjastyczne traktowanie stanu San Paolo nie zaćmiewa bynajmniej poglądu jego na złe strony dotychczasowego systemu kolonizacji, w którego krytyce byliśmy zgodni. Spędzone z nim zbyt krótkie, niestety, chwile uważam za jedne z najmiłszych podczas całego mego pobytu w Brazylii.

Stan San Paolo jest krajem kawy; dziewięćdziesiątych produkcji kawy całego świata pochodzi stąd. Przeważnie wszystkie Cejlony, Jawy, Mokki, które pijemy, są dziś tylko nazwami gatunków, pochodzących ze stanu San Paolo. Wzdłuż linii kolejowych ciągną się bez końca, całymi kilometrami plantacje pięknych, dekoracyjnych, dość wysokich krzewów, pokrytych, obsypanych raczej czerwonymi owocami, podobnymi do wiśni. Czerwona powłoka wędnie z czasem, obdzierają ją specjalne maszyny, poczem oczyszczone i ususzone pestki idą do handlu jako kawa różnych gatunków.

W stanie San Paolo odbyłem również wycieczkę wzdłuż kolei Lovocabana, jednej z części kolei transatlantyckiej z Rio de Janeiro do Rio Grande do Sul. Kolej Lovocabana należy do towarzystwa kolejowego São Paulo-Rio Grande, które w swym ręku posiada również część kolei, przechodzącej przez Paranę. O tem towarzystwie było głośno we Lwowie w r. z., kiedy bawił tam jego agent, hr. Le Hon, w celu rekrutowania robotników kolejowych. Zadaniem moim było również zbadanie bytu robotników na wymienionej kolei. Dlatego, w granicach, w jakich jest dotąd budowana i wybudowana, zjeżdżałem ją całą i uważam, że położenie robotników jest wogóle dobre. Jeżeli kiedyś losy rzucą mnie znowu do Brazylii i będę jechał z Rio de Janeiro do Rio Grande kolejną, na przestrzeni 900 klm. drogi trafię na szlaki dobrze mi znane...

— A mogę to, Nastuś? Jakże, wygnała me i na ciebie pomstuje, miarkuj ino.

— Mój Boże, żeby choć jaką krowinę dali, a to, jak te najgorsze dziadaki, przez niczego, jaże strach pomyśleć.

— Będzie i krowa, Nastuś, będzie, jużem se jedną upatrzył.

— Bo to ani chałupy, ani bydłatka, ani nic!—zapłakała, przytulając się do niego, obcierał jej oczy, głaskał po głowinie, ale że i jemu robiło się żałośnie, co dziw sam nie beknął, bo porwał się na nogi, chytał za łopatę i krzyknął, jakby srodze zgniewany:

— Bój się Boga, kobieto, tylachna roboty, a ty jeno wyrzekasz.

Podniosła się, pełna ciężkich turbacyi a trosk niemałych.

— Bo, jeśli z głodu nie pomrzem, to nas wilki zjedzą na tem wywieisku.

Rozgniewał się na dobre i, biorąc się do roboty, rzekł twardo:

— Masz buczeć i pleść bele co, to lepiej ostań se w chałupie.

Chciała się przygarnąć do niego i udo-bruchać, ale ją odepchnął.

— Hale, pora tera na jamory, juści! —dał się jednak ugłaskać, choć się ta jeszcze sierdził na babie gadanie, że odeszła spokojna i nawet wesoła.

— Loboga! Dyc i kobieta człowiek, a po człowieczemu nie wyrozumie. Płacze jeno a lamentsy, samo z nieba nie spadnie, jak się kulasami nie wyrobi. Kieby te dzieci, to śmiech, to płacz, to złości i wyrzekania! Loboga!

Mamrotał, przypinając się do roboty z taką zapalczywością, że wnet zapomniął o całym świecie.

I już tak pracował dzień w dzień, o pierwszym świcie się zrywał i wracał późnym wieczorem, że często gęby nie ozwał do nikogo przez cały dzień, jadło przynosiła mu Tereska albo kto drugi, gdyż Nastusia odrabiała przy księżych ziemniakach.

Zrazu zaglądał do niego ten i ów, ale, że nierad był pogwarom, to jeno zdala poglądali, dziwując się jego niestrudzonej pracy.

— Kwarda jucha! Ktoby się to był spodział—mruknął Kłab.

— A bo to nie Dominikowe nasienie!—wykrzyknął ze śmiechem ktosik drugi, ale Grzela, któren go od samego początku pilnie obserwował, rzekł:

— Prawda, że haruje, kiej wół, ale trzaby mu ździebko ulżyć.

— Juści, sam nie uradzi, trzaby, wart tego!—przytwardzali, jeno co nikt się nie pokwapił na pierwszego, wyczekując, jaże sam poprosi.

Ale Szymek nie prosił, ani mu to w głowie powstało, więc też któregoś dnia srodze się zdumiał, dojrawszy jakiś wóz, jadący ku niemu.

Jędrzych powoził i już zdala krzyczał wesoło:

— Pokaż, kaj mam podorywać! Dyc to ja!

Szymek dopiero po długiej chwili uwierzył oczom.

— Żeś się to ważył, no, spierą cię, chudziaku, obaczysz.

— A niechta! a jak me spierą, to już całkiem do ciebie przystanę.

— I sameś to umyślił mi pomagać?

— A sam! Dawno chciałem, jenom się bojał, pilnowali me i zrazu, Jagusia też odradzała—rozpowiadał szeroko, biorąc się do roboty, że już razem orali cały dzień, a odjeżdżając, obiecał przyjechać jeszcze i nazajutrz.

I przyjechał równo ze słońcem, a Szymek zaraz obaczył jego poliki ździebko posinione, ale spytał się dopiero przed wieczorem:

— Sielne piekło ci zrobili?

— I... ślepi, to im nie łacno me zmacać, a sam przeciek pod pazury nie wlezę—powiadał jakoś markotnie.

— A Jagna cię nie wydała?

— Jagusia przeciek nie stoi nam na zdradzie.

— Póki jej cosik do łba nie strzeli, kto to wyrozumie kobiety!—westchnął żałośnie i wzbronił mu więcej przyjeżdżać.

— Sam se już dam radę, pomożesz mi później, przy siewach.

I znowu ostał sam i robił niestrudzenie, kiej ten koń w kieracie, nie bacząc na utrudzenie ni na żar, dnie bowiem szły takie gorące, rozprażone a duszne, że ziemia pęka-

ła, wody wysychały, trawy żółkły, a zboża stały ledwie już żywe w owej piekielnej po-zodze, pola robiły się puste i głuche, gdyż nie sposób było wytrzymać przy robocie, prosto żywy ogień lał się z nieba, i słońce wy-żerało ślepie. Zbielałe, mętne niebo wisiało, kieby ta ognista, rozdrzana płachta, obtulają-ca wszystką ziemię taką spieką, że ni wiatr się poruszył, ni zaruchały się drzewa, ni ptak zaśpiewał, lebo głos ludzki się kaj zerwał, a co dnia jednako ze wschodu na zachód wędrowało słońce, siejąc nieubłaganie ogień i posuchę.

A i Szymek co dnia jednako stawał do roboty, nie dając się spędzić upałom, że nawet już noce przesypiał na polu, bele jeno czasu nie mitrzyćć, aż go Mateusz hamował w onej zajadłości, ale mu rzekł krótko:

— W niedziele se odpoczne!

Jakoż w sobotę wieczorem przyszedł do chałupy, ale tak przemordowany, iż zasnął przy misce, a nazajutrz spał prawie cały dzień, bo dopiero na odwieczeru zwlókł się był z barłogu i, przybrawszy się odświeżnie, zasiadł przed kopiastymi michami, chodziły też kole niego kobiety, kieby kole tej ważnej osoby, często dokładając i bacząc na każde skinienie, on zaś, nałożywszy się do syta, pasa popuścił, kości rozprostował i huknął wesoło:

— Bóg zapłać, matko! A tera chodźma się ździebko poweselić!

I ruszył z Nastusią do karczmy, a za nimi Mateusz z Tereską.

Żyd kłaniał mu się w pas, gorzałkę stawał bez wołania i gospodarzem przeżywał, z czego Szymek niemało się puszył i, podpiswszy se galancie, darł się między najpierwsze i swoje o wszystkim powiadał.

W karczmie było ludno, i muzyka przygrywała la większej ochoty, ale nikt się jeszcze nie brał do tańców, a jeno przepijali do się, biadoląc na gorąc, to na przednówek, jak to zwyczajnie w karczmie.

Przyszły nawet Boryny z kowalami, ale powiedli się do alkierza i musi co se niezgorzej używali, bo Żyd raz po raz nosił im gorzałkę a piwo.

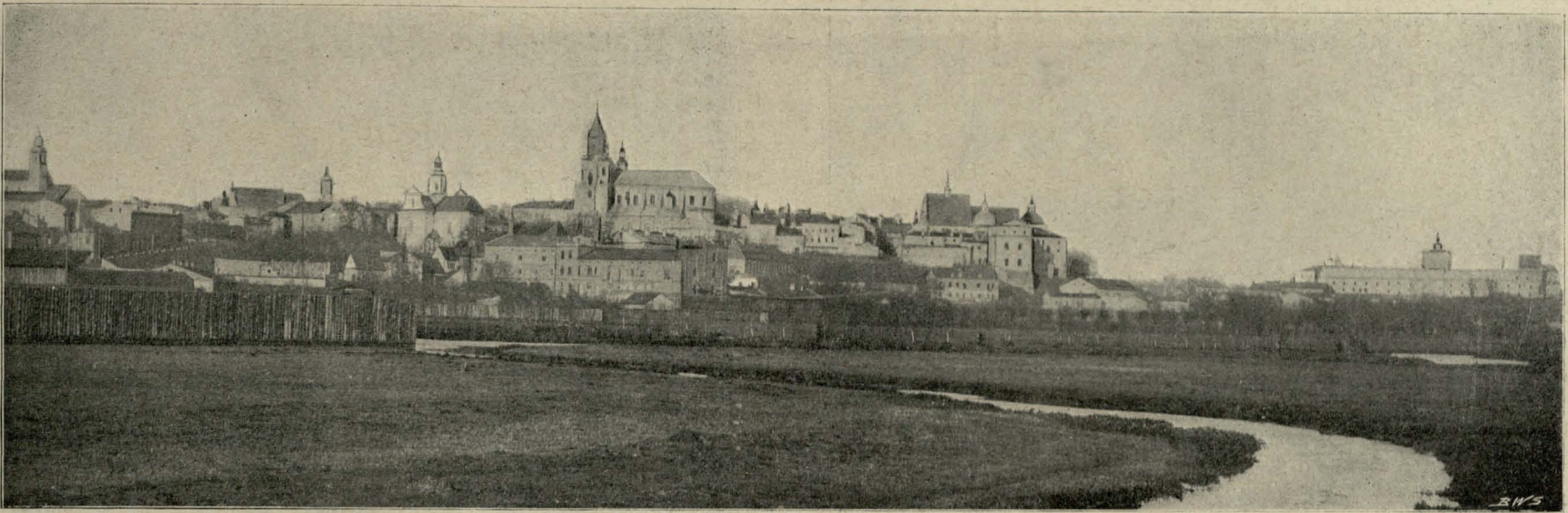
— Antek patrzy dzisiaj w swoją kobietę, kieby gapa w gnat, że nawet człowieka nie poznaje—wyrzekał markotnie Jambroz, na darmo zazierając do alkierza, skąd się roznosiły brzękliwe, lube głosy.

— Bo mu lepszy swój trep, niżli buciary, co na każdy kulas idą—rzekła z prześmiechem Jagustynka.

— Ale w takich nóg se człowiek nie urazi!—dorzucił ktosik, a cała karczma gruchnęła śmiechem, rozumiejąc, co Jagusię mają na myślach.

(DCN)





OGÓLNY WIDOK LUBLINA.

LUBLIN.

Niewiele miast naszych może się poszczycić taką wspaniałością rodową i bogactwem wspomnień w dziejach ojczystych, jak prastary Lublin, który dziś znowu przywdział odświętną szatę i każe mówić o sobie głośno i z uznaniem.

Czas jego założenia i pierwsze początki otoczone są aureolą legend i podań, a to tylko pewne, że już w bardzo odległej starożytności, bo za Miecysława I-go, szczylił się posiadaniem jednego z pierwszych kościołów chrześcijańskich, a za Bolesława Chrobrego miał

Koniec wieku XVI i początek XVII był najświetniejszą erą w dziejach Lublina. Pałace możnej szlachty, znaczna ilość fabryk, kilkanaście kościołów i 40000 ludności, oto cechy charakterystyczne, które niewiele miast poszczycić się mogło. Lecz znowu smutne wypadki polityczne strąciły Lublin z zajętego świetnego stanowiska. A następowały one jedne za drugimi, jakgdyby ponura nieskończona litania: rokosz Zembrzydowski, zatargi z dysydentami, najście Szwedów, rabunek Tatarów, morowe powietrze i wielki pożar.

Pomimo to Lublin i nadal nie przestał być nieraz

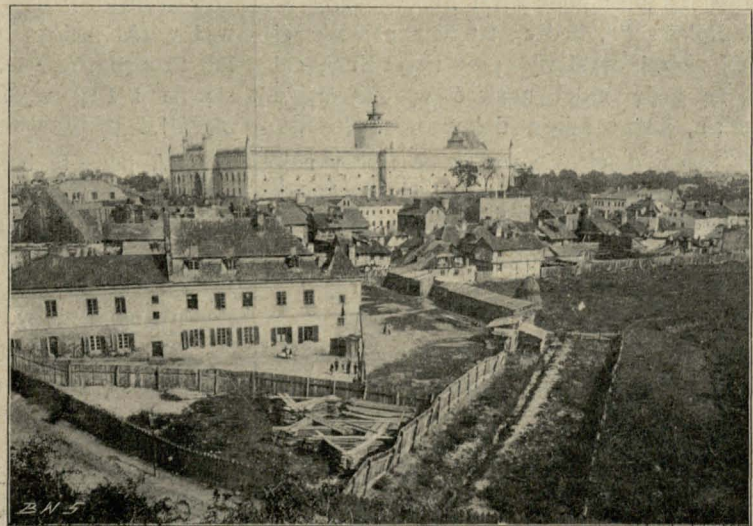
króla z narodem dla silniejszej obrony od Szwedów, i układy z konfederacją tarnogrodzką za pośrednictwem księcia Dołgorukiego w r. 1716 stanowią chlubną kartę w dziejach upadającego już moralnie miasta.

Dziwne doprawdy i uderzające jest to, że w tej właśnie epoce, kiedy Lublin upadać zaczął, budowano w nim więcej, niż kiedykolwiek, kościołów i fundowano coraz to nowe zgromadzenia duchowne, chcąc jakby modłami i pobożnością nagrodzić brak rozumu politycznego i ducha obywatelskiego, jaki się wtedy jaskrawo w naszym społeczeństwie okazał.

Dopiero za Stanisława Augusta nastąpił kres upad-



Lublin. Kościół katedralny i wieża trynitarcka.



Lublin. B. zamek królewski, obecnie więzienie.

już obronny, drewniany zamek. Rósł więc i wzrastał się w potęgę i znaczenie, lecz wkrótce zmienna kolej losu zgotowała mu szereg nieszczęść i klęsk.

Wiek XIII i XIV stał się ogniem czyściczych prób w dziejach miasta. Dwa najazdy mongolskie, napady Rusinów i Litwinów niszczyły gród bezustannie, odzierając go z pamiątek i zabytków. Pożary, zgliszcząca i ruiny piętrzyły się niejednokrotnie tam, gdzie do niedawna drgało życie i wesele. Dopiero Kazimierz położył kres barbarzyńskim zakusom wrogów, kładąc trupem 6,000 Mongołów pod samym miastem, jako krwawą zapłatę za spalenie i zrabowanie części grodu w roku 1341. W następnym zaraz roku król opasał miasto murem i przekopem, wzmocnił zamek, wznosił piękne bramy, krakowską i grodzką, i uposażył klasztory.

Od tej chwili Lublin szybko wzrastał w zamożność i należał już do pierwszorzędných miast w kraju, aczkolwiek i teraz przechodził momenty chwilowych klęsk i upadku z powodu najazdów Litwy. Dopiero sejmy, na których w latach 1568 i 1569 odbyło się wiekopomne dzieło połączenia Litwy z Koroną, zaważyły ostatecznie na szali dalszego spokoju i rozkwitu.

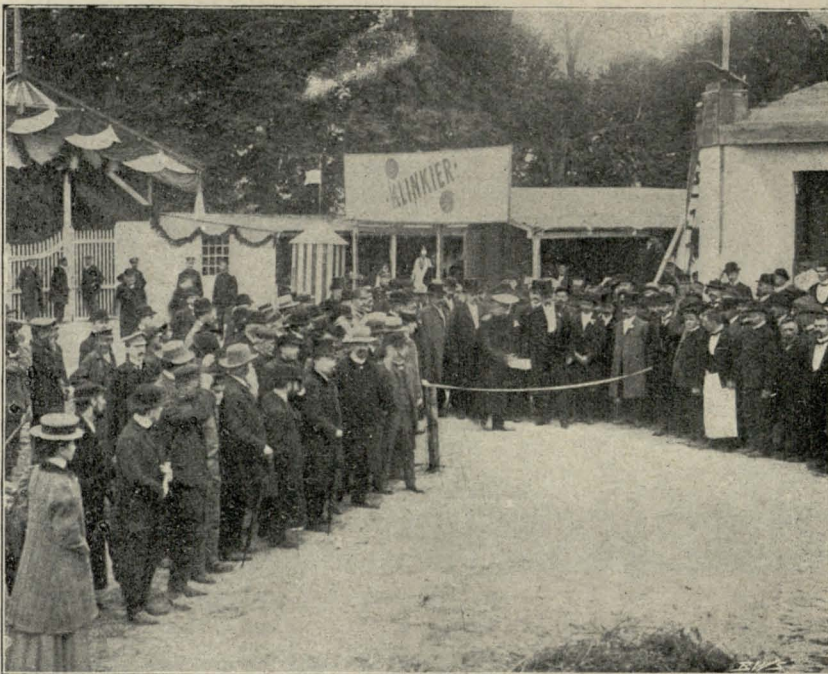
świadkiem wypadków, decydujących o losach całego kraju. Sejm roku 1703, na którym wzmocniono więzy



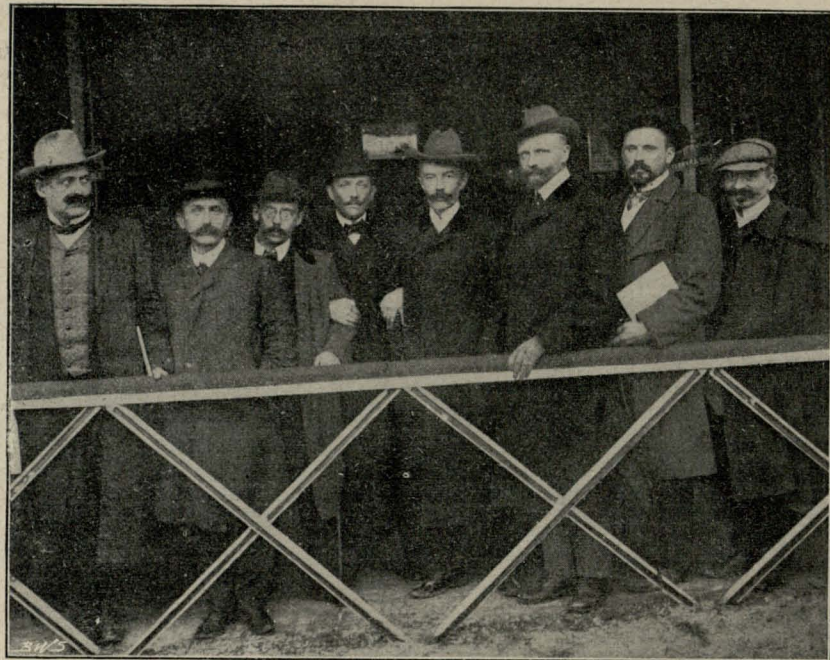
Lublin. Brama grodzka.

ku zasłużonego w dziejach ojczystych miasta. Mąż wielkich zasług, Kajetan Hryniewiecki, wojewoda lubelski, zajął się czynnie jego losem, stanawszy w roku 1785 na czele tak zwanej komisji dobrego porządku, i doprowadził do ładu to starożytne miasto. Od tej pory przy silnem współdziałaniu mieszkańców zaczęły powstawać nowe okazałe gmachy, a dawniejsze doprowadzono do porządku i pięknie odnawiano. A stare zabytki lubelskie drogie są sercu polskiemu, gdyż żywo przypominają chwile dołi i niedoli z przeszłości narodu...

Współczesny też Lublin odgrywa niemałą rolę w życiu obecnego społeczeństwa, gdyż poza Warszawą pod względem ruchu umysłowego i kulturalnego stoi bezwarunkowo na pierwszym miejscu wśród wszystkich miast Królestwa. Bardzo malowniczy, żywy, ruchliwy i czysto utrzymany, wywiera na przyjezdnych bardzo miłe i sympatyczne wrażenie, a mieszkańcy w niczem nie przypominają zaśniedziałych „prowincyałów”, gdyż Europejczykami są i wewnątrz, i zewnątrz.



Otwarcie wystawy w Lublinie. Wice-gubernator lubelski w obecności komitetu wystawy, z prezesem p. Przanowskim na czele, przecina wstęgę.



Prasa na wystawie. Od lewej ku prawej: J. Czempiński, *Przegląd Poranny*; St. Olędzki, *Nowa Gazeta*; Janikowski, *Goniec*; Z. J. Naimski, *Kuryer Warszawski*; Stodoliński, *Goniec Polski* w Lublinie; Z. Skarzyński, *Głos Warszawski*; D. Śliwcki i Bochenek, *Ziemia Lubelska*.

NA WYSTAWIE W LUBLINIE.

Dalibóg, wchodząc przed południem, w sobotę ubiegłą, na plac podmiejski Lubelskiego Towarzystwa Rolniczego, będący terenem największej tegorocznej naszej wystawy prowincjonalnej, ani myślałem, że będę mógł napisać w *Tygodniku* o jej otwarciu, jako o fakcie dokonanym.

Tymczasem dzieją się widocznie rzeczy najnieprawdopodobniejsze, jak to czytelnicy stwierdzą naocznie z obocznych rycin, malujących plastycznie wystawę przemysłowo-hygieniczną w Lublinie. Stała ona naprawdę i jest ze wszech miar godna widzenia.

Wątpliwości te, powyżej zaznaczone, umyślnego delegata *Tygodnika* na wystawę musiały go opanować na widok ogólnej opieszałości i naszego, niestety, już tak przysłowiowego *laisser aller*, *laisser faire* u komitetu wystawy, u wystawców, wreszcie u rzemieślników i robotników różnej kategorii, bez których żadna wystawa obyć się i powstać nie może, ale którzy też na żadnej innej nie darli z pewnością tak skóry z wystawców, ofiar opóźnienia ogólnego, jak w Lublinie.

I ostatecznie, jak się rzekło, wystawa stała, ale kosztem ofiar i wysiłków pieniężnych, których, doprawdy, przy odrobinie przeczności, pośpiechu i punktualności można było uniknąć.

Wynikiem tego są znów dość kardynalne wady obecnego pokazu zbiorowego lubelskiego.

Jego chaotyczność zupełna, albowiem okazów jednego działu wystawy trzeba się doszukiwać wśród jakiego działu trzeciego, dziesiątego, lub takiego wreszcie, który absolutnie kwalifikuje się na każdą wystawę, tylko nie na higieniczną!...

A powtóre bardzo niewielka dbałość o estetyczną sukienkę wystawy, która właśnie na prowincyi, gwoili obudzenia poczucia piękna i potrzeby jego kultywowania, powinna być dbałość o pozór i formę artystyczną wysunąć na plan bodaj czy nie najpierwszy.

Bo co warte jest nawet życie zdrowe, jeżeli nie żyje się ładnie, mile wśród form przyjemnych

dla oczu, zastaniających nieraz jałową czczość życia przeciętnego?

W każdym bądź razie, dzięki inicjatywie Towarzystwa higienicznego, a wykonaniu jej przez oddział lubelski tego Tow., mamy tu trzy tygodnie wystawę, godną nie tylko obejrzenia, ale i poznania we wszystkich szczegółach.

Niestety, wprowadziłem w błąd czytelników, gdybym twierdził, że są one już całkiem skryształizowane, uchwytnie, możliwe do podania.

Dużo jeszcze do tego brakuje.

Należy się więc narazie ograniczyć na ogólnikach, do których scharakteryzowania dopomoga nam cztery cyfry. Na 4-romorgowej przestrzeni roztaowały się pawilony, altany, kioski, zagrody, oddziały w ogólnej liczbie 38, w których znalazło pomieszczenie 247 wystawców. Z tej znacznej stosunkowo liczby sam Lublin i ziemia lubelska dostarczyły tylko 76 wystawców.

Znakomita większość wystawców przypadła więc na Warszawę, co jest dowodem wymownym, jak nasza stolica dąży do odrodzenia swego nadzarpniętego przesileniem lat ostatnich przemysłu i jak skrzętnie szuka dlań rozszerzenia dróg zbytu, choćby we własnym kraju.

Tej obudzonej żywotności i ruchliwości, dyktowanej rozumnym zmysłem ekonomicznym, tylko najgoręcej przyklasnąć należy.

Lwia część tych okla-



Wystawcy i komitet podejmują przedstawicieli prasy warszawskiej i miejscowej.



Krzysztof Grabek, lirnik 70-letni z Dzikowa w Galicyi, przygrywający kujawiaki, krakowiaki, mazury i dumki na wystawie.

sków przypaść winna jednak Lublinowi, temu staremu świadkowi wiekopomnego faktu dziejowego, „Unii lubelskiej“.

Bo Lublin wziął na swoje barki tym razem nie tylko ciężar urzędzenia wystawy przemysłowo - higienicznej w Lublinie. W chwili gdy ten numer *Tygodnika* idzie na prasę, otwiera już drugą wystawę, ogrodniczą w ogrodzie bronowickim, a w końcu miesiąca gościć będzie w swych murach dwa zjazdy: członków Tow. higienicznego z całego kraju na naradach doniosłych kilkunastu, oraz zjazd członków kółek rolniczych, bardzo licznych i bardzo liczebnych.

Ruch więc, już wzmożony, trwać będzie w Lublinie przez miesiąc cały, wprowadzając do życia nieco za spokojnego, a raczej monotonno sennego trzeciego z rzędu miasta w kraju — podniecone i żywsze tętno.

Wstąpiliśmy tedy we wrześniu w znak Lublina.

Obyż on jak największe korzyści wydał samemu mięsu, jego „mlekiem i miodem“ płynącej ziemi okolicznej i kulturze ogólnokrajowej.

VITIMIR.



Pawilon *Kuryera Warszawskiego*.

SŁYSZANE.

~

Skądżeście wy, grajku moi?
Skąd wam taki ton?
Tak mi się coś w myślach troi,
Żeście chyba, grajku moi,
Z onych rodnych stron
Kochanych!
Z ojcowistych stron!

Toć ja kiedyś już słycałem
Taką śpiewkę gdzieś!
Latywała zbożem żrałem,
Latywała duszą, ciałem,
Poprzez moją wieś
Kołyską!
Poprzez moją wieś!

Śpiewali ją starzy, młodzi
Nieraz... hyla w noc!
Jeszcze po dziś echem chodzi,
Jeszcze dobre myśli rodzi



Pierwsza wycieczka włościanek na wystawie z Fajstawic pod Lublinem, przywiezionych przez dzielnego i ukochanego przez parafian swych proboszcza, ks. A. Padzińskiego, jednego z nielicznych wystawców w dziale higieny ludowej.

Od owego moc
Śpiewania!
Moc nad moce moc...

Tyle wody przepłynęło,
Tyla przeszło chmur,
A kiej ze strzech wam wionęło
Zarusieńko w sercu drgnęło,
Zaraz poszedł wtór
Po duszy!
On, latosi wtór!

Wstało wszystko, jak przed laty,
Jakby kędyś... gdzieś...
Przystrojone w zioła, w kwiaty,
Biały dworek, strzeszne chaty
Calusienka wieś
Matula!
Moja wierna— wieś!



Przedstawiciele Zakopanego na wystawie: 1) Buła z zakładu d-ra Chramca, 2) Gończarek z sanatorium d-ra Dłuskiego.

Tyle śpiewek pogrzebali,
Tyle poszło w lżę...
Ona jedna, zblizka, zdali,
Czy raduje się, czy żali,
Ona jedna je(st)
Jak była —
Ona jedna... je(st)!

Ona jedna, choć grzebana,
Wstaje raz po raz!
Taka sama ukochana,
Pokrzykuje: ojże dana!
Pobrzękuje w pas
Kowany!
W pas! Krakowski pas!

Już jej sto lat, albo więcej,
Sto lat ciemnych chmur,
Ale zawdy błyszczy w tęc(z)y,
Po dawnemu nutą dźwięc(z)y,
Czapką z pawich piór
Powiewał

Czapką z pawich piór!

K. LASKOWSKI (EL)



Pawilon spółki mleczarskiej lubelskiej „Zdrowie“.

ZARZĄD I PROTEKTOROWIE WYSTAWY PRZEMYSŁOWO-ROLNICZEJ W JAROSŁAWIU.



Witold ks. Czartoryski, prezes wyst.



Andrzej ks. Lubomirski.



Stanisław hr. Siemieński-Lewicki.



Jerzy Turnau, wice-prezes.



Stanisław Gurgul, dyr. wyst.

Z wystawy w Jarosławiu.

Liga pomocy przemysłowej w Galicyi w połączeniu z komitetem galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego urządziły wystawę przeglądową w Jarosławiu.

Z działu przemysłu, zapewne, kto inny, bardziej do tego uzdolniony, przesłał wam sprawozdanie... Ja ograniczę się tu tylko na krótkim opisanie działu hodowlanego, który w rzeczy samej był wprost wspaniały.

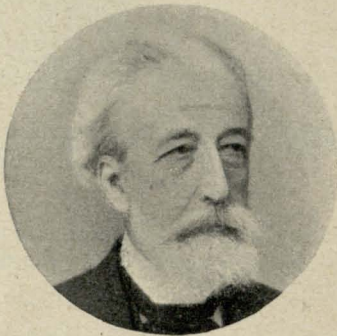
* * *

Przed laty 30 podczas pierwszej wystawy krajowej we Lwowie produkcja bydła przedstawiała się, jak pstra mozaika; każdy większy hodowca przedstawił tam inną rasę, a chociaż okazy były dobre, to jednak taki system nie mógł doprowadzić do żadnego ujednostajnienia chowu krajowego. Wówczas to komitet gubernialnego Tow. gospodarczego postanowił kierunek tej hodowli ująć w swe ręce i uczynić go jednolitym. Ówczesny wiceprezes Towarzystwa i kierownik działu hodowlanego, p. Stanisław Brykczyński, wypracował cały plan postępowania, dzieląc kraj cały na trzy rejony.

1) Rejon górski i stepowy—i ten przeznaczył na chów bydła górskiego Bern-simentalskiego.

2) Rejon nizinny i dorzecza o bujnych, soczystych pastwiskach postanowiono poświęcić hodowli bydła nizinnego holendersko-oldenburskiego.

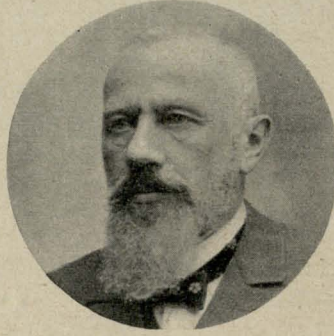
3) Wreszcie w najuboższych leśno-piaszczystych okolicach, zajmujących cały północny pas kraju od granic Królestwa Polskiego, przeznaczono na chów świeżo



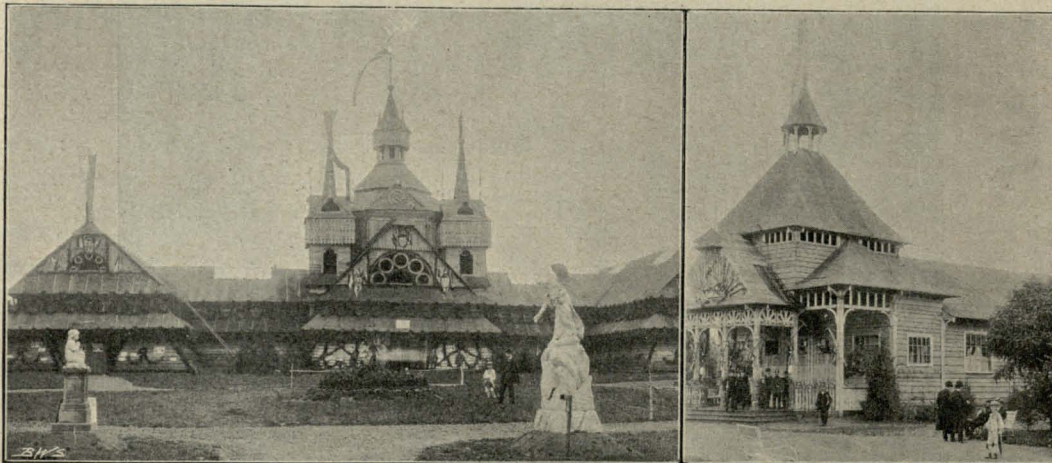
Jerzy ks. Czartoryski.



Marya ks. Czartoryska.



Dr. Adolf Dietzius, wice-prezes.



Pawilon przemysłowy i rolniczy.

odrodzonej rasy „czerwonego polskiego bydła”, której hodowlą zajął się z niesłychaną troskliwością i wprost pietyzmem dr Mikołaj hr. Rey w Przyborowie.

W dołączonych podobiznach znajdzie czytelnik wyraźne ślady tej usilnej pracy.

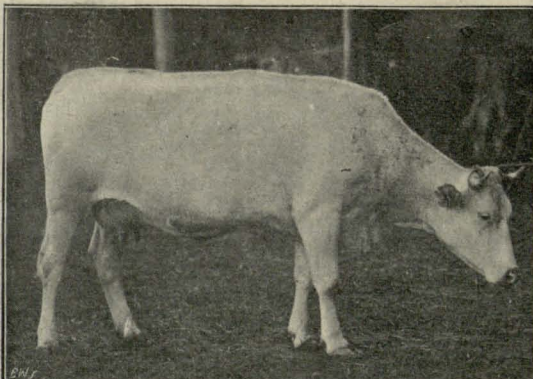
W chowie ras zagranicznych tak górskiej, jak nizinnej, doszliśmy do tego, że dziś już możemy zaopatrzyć cały wschód Europy w materiał rozplodowy, zaaklimatyzowany i zastosowany do warunków klimatyczno-życiowych, panujących we wschodniej Europie, a tak różnych od tychże stosunków na Zachodzie.

przychodzą konie, po koniach świnie i drób... A wszystko cicho, w porządku, w milczeniu, bez słowiańskiego krzyku i hałasu... Jednym słowem — wzorowo.

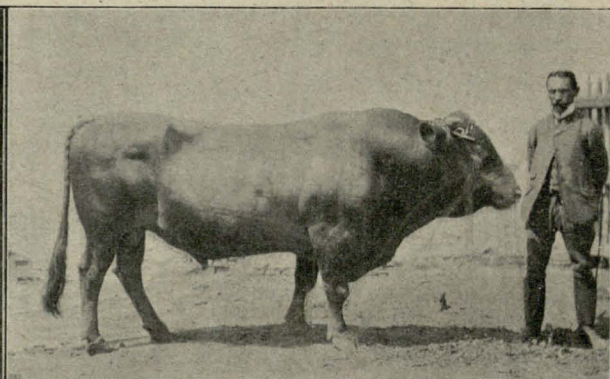
Po sporządzeniu fotografii z wystawy koni nadesłę wam krótkie sprawozdanie z tego wprost imponującego działu.

K. SOLTAN-ABGAROWICZ.

Jarosław, 11 września 1908 r.



1) Krowa pół krwi Simental, daje 500 litrów mleka rocznie, własność ordyn. ks. Andrzeja Lubomirskiego.



2) Kasztelan, buhaj, wagi 920 kilogr., własność dr. M. hr. Reya.

Buhaj Bezik (Simental)
własność hr. T. Dzieduszyckiego.



Współczesne Persyanki.

wierzył, więc pozostawiono je w spokoju. Bo i któż mógł przypuszczać, aby w mózgu tureckiej kobiety, tej ciepłarnianej haremowej rośliny, mogły powstawać jakiegokolwiek myśli, a tembardziej rewolucyjne?

Od roku 1904 tureckie kobiety zaczynają brać jak najczynniejszy udział w ogólnym ruchu politycznym. Pod pretekstem wieczorów muzycznych stale odbywają się zebrania kobiece, na których po całych nocach rozpatrywane są rozmaite sprawy polityczne, a przede wszystkim kwestya zerwania kajdan potwornego despotyzmu. Pomimo okropnych czasów, ciągłych wysłań z kraju i zadawania śmierci przez rządowych siepaczy, turecka kobieta odważnie stąpała po nowej drodze. Całkowicie zagarnawszy pod swoją opiekę wykształcenie córek, dopięła ona i tego, że i synowie do pewnego wieku zostawali pod jej wpływami. I oto dzięki tym staraniom w tureckiej młodzieży rozwinęły się te uczucia miłości ojczyzny i nienawiści do służalstwa i niewoli, jakie w rezultacie swoim doprowadziły do wypadków współczesnych...

Współrzędnie prawie z Turcją hasła odrodzenia kobiety brzmiały i rozwijały się w sąsiedniej Persyi. I tu bliższe zetknięcie z Zachodem nastąpiło przed kilkunastu już laty. Umysł Persyanek, które słuchały opowiadań swych braci, powracających z europejskich i amerykańskich uniwersytetów, pobudził się do życia, a nowe, nieznane dotąd horyzonty wolności kobiecej na Zachodzie budziły pragnienie brania udziału w życiu społecznym i narodowym. I oto jedna z kobiet zrzuciła wreszcie zasłonę i, jak Europejka, zamieszkała w Teheranie. Była to Agha Kuczulu (mały pan), urodzona w roku 1886, pierwsza pionierka ruchu wolnościowego wśród kobiet współczesnej Persyi.

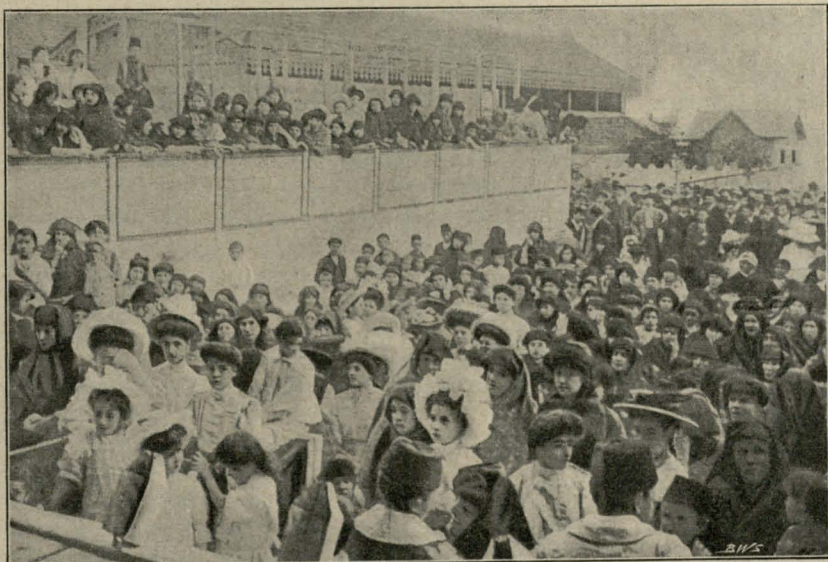


Kobiety tureckie z ludu, kupujące kokardy narodowe.

Wyzwolenie kobiety na Wschodzie.

Na wielkich obszarach Wschodu, ogarniętych dziś przez płomień rewolucyi, odbywa się znamienne i nieoczekiwane zjawisko—wyzwolenie kobiety. Wszę-

Od chwili wybuchu rewolucyi wszystkie Persyanki okazują dla jej pamięci niebывały entuzjazm. Zdawałoby się, że umysły ich i usta oddawna przygotowane były do głoszenia haseł równości, miłości i braterstwa, propagowanych przez pierwszą pionierkę-kobietę, gdyż



Turczynki wraz z Europejkami słuchają przemówień o równouprawnieniu.



Dziewczęta egipskie w szkole klasztornej.

dzie bowiem, gdzie tylko błysnęły już promienie nowego słońca, ożywcza ich smuga zaślśniła i na jej szarem dotychczas życiu.

Pierwsze hasło odrodzenia zabrzmiało w Turcyi.

Już od r. 1877, t. j. po nieudanej kampanii z Rosyą, Turczynki, dotknięte tem nie mniej od mężczyzn, zaczęły dążyć usilnie, aby ich synowie i córki otrzymywali staranniejsze wychowanie i wykształcenie, które pozwoliłoby im stanąć narówni z narodami europejskimi.

Stopniowy rozwój w dziedzinie wykształcenia kobiet znalazł nawet oddźwięk w literaturze, powstał bowiem specjalny *Przegląd literacki*, w którym brały udział wyłącznie kobiety.

Przegląd zajmował się jedynie rozpatrywaniem i oceną rozmaitych utworów europejskich, a o polityce i wewnętrznych sprawach Turcyi nie było ani wzmianki. Pomimo to cenzura w państwie padyszacha nie mogła pogodzić się i z tem nawskroś literackim przedsięwzięciem, które zostało wkrótce zniszczone w pełni swojego rozkwitu.

Stało się to podczas najzawziętszego prześladowania tych wszystkich, co marzyli o politycznych reformach, budząc w kobietach piekielną nienawiść do despotycznego rządu.

Już w znowach politycznych 1901 i 1903 roku, zażegnanych, co prawda, w samym początku, kobiety brały bezwzględny udział, lecz temu prawie nikt nie



Hinduski z Ceylonu w ubraniu z obręczy mosiężnych.

wszelkie sprawy publiczne zapalają je i pobudzają do osobistych poświęceń. I cały ten ruch wolnościowy nie ogranicza się jedynie do Teheranu, gdyż biorą w nim też najwyższy udział kobiety z prowincyi, łącząc się ze stolicą. Parlament stał się już przedmiotem ich kultu, gdyż, tak samo jak mężczyźni, i one pokładają w nim wszelkie swe nadzieje.

Najpiękniejszą jednak cechą entuzjazmu obecnego Persyanek jest jego całkowita bezinteresowność, gdyż nawet najbardziej optymistycznie usposobione i najinteligentniejsze kobiety nie marzą jeszcze o swobodach dla siebie. Ostrożność każe czekać; tymczasem Persyanki żądają tylko nauki i żądają jej bezwzględnie.

Ruch w dziedzinie odrodzenia kobiety zaznacza się także i we współczesnych Indyach, które budzić się poczynają do nowego życia, zrywając z zamurszłą tradycyą braminizmu i kastowych przesądów. Rzecznicy postępowych haseł na pierwszy plan wysunęli kwestyę kobiecą, domagając się złagodzenia surowych praw, jakim podlega kobieta. Również projektowane jest całkowite usunięcie uświęconej przez religię rozpusty w postaci pięknych bajader, na które składa się sam kwiat młodzieży żeńskiej, pogrążony w bagnisko życia dla praktyk religijnych. Dla zreformowania stanowiska kobiety w życiu i w rodzinie i dla uświadomienia jej samej ma być wkrótce znacznie zwiększona ilość szkół i rozszerzony program nauk. REMIGIUSZ KWIATKOWSKI.



Ostatnia scena z „Sardanapala”.

Nastroje polityczne.

W prasie naszej i zagranicznej, wre bezustannie...

Cała serya zjazdów monarszych i wizyt politycznych wywołuje nowe wciąż pogłoski, które należy sprawdzać i rozsegregować. Bardziej skłonni do uogólnień politycy witają już radośnie pierwsze zarysy nowego trójprzymierza; Anglia, Rosya, Francya, śląc zjadliwe uśmiechy w stronę Niemiec, coraz częściej pozostających w osamotnieniu. Nawet w Wiedniu, który tak ulegał Berlinowi, ostatnia nota niemiecka w sprawie Marokka znalazła zimne przyjęcie, nie mówiąc już o innych mocarstwach, które zajęły stanowisko wyczekujące lub jawnie nieprzychylnie.

Zabawny jest szczegół, ale dobrze charakteryzujący obecnego władcę Niemiec, że w dzień wystania niefortunnej nocy, na rozkaz cesarski odegrano balet polityczno-allegoryczny, mający przedstawiać losy potężnego Sardanapala i katastrofę, w której zapadło się jego państwo. Sztukę inscenizował sam Wilhelm, a łatwo się domyśleć, że współczesnym Sardanapalem miał być, według zawartej alegorii, król angielski. Tryumf, co prawda, trochę przedwczesny, gdyż obecna sytuacja polityczna zgola kogo innego wskazuje, jako Sardanapala przyszłości, a przysłowie o „fortunie, co kołem się toczy” coraz jaskrawiej zaczyna się sprawdzać na całej polityce niemieckiej.

Nowe coraz niespodzianki oprócz Rzeszy niemieckiej daje konstytucyjna Turcja. Nie mówiąc już o powikłaniach w sprawie bałkańskiej, ani o Bośni i Hercegowinie, gdzie wre, jak w ulu, z chwilą ogłoszenia tureckiej konstytucji zapanował gorączkowy ruch wśród syonistów całego świata. Syoniści, jak głoszą ich pisma, stanęli obecnie wobec możliwości ziszczenia swych pragnień, streszczających się w hasło: „Palestyna dla Żydów”. Dotychczasowa agitacja rozwija się dość pomyślnie, czego dowodem zbiorowe wyjazdy całych rodzin żydowskich, nawet i z Królestwa, w celu stałego osiedlenia się w Palestynie. Stronnictwo młodoturków bardzo przychylnie usposobione jest dla syonistów i jakoby zaręcza, iż „Żydom nigdzie nie będzie tak dobrze, jak w Palestynie”...

Wogóle fala konstytucyjna i związane z nią zjawiska i prądy szerzą się coraz gwałtowniej, wywołując nowe zmiany. Kruszą się dotychczasowe podstawy ustroju państwowego w najbardziej despotycznych mo-

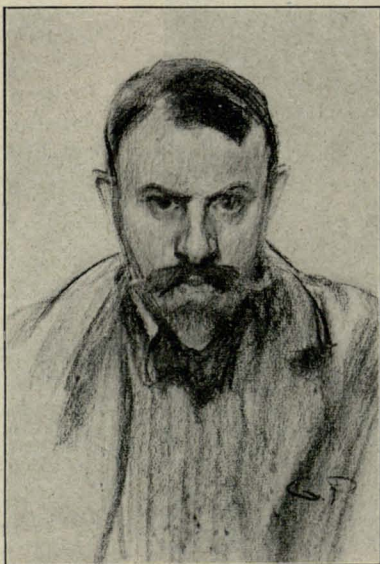
narchiach. Do odrodzonych państw Wschodu przybywa jeszcze jedno, uważane dotąd za barbarzyńskie i ciemne, mocarstwo chińskie, gdyż z Pekinu ogłoszono już edykt cesarski, zapowiadający stopniowe wprowadzenie konstytucji w przeciągu lat dziesięciu...

Bardzo też na czasie zapowiedziany jest w Rzymie międzynarodowy kongres „europejskiej federacji”. Myśl oraz idea federacyjna datuje się już oddawna, lecz teraz dopiero nabiera istotnej żywotności, gdyż obecna sytuacja wszechświatowa tak się układa, że niedługo już Europa będzie ostatecznie rozstrzygnęła najnowszy dylemat: czy zjednoczyć się w federację, czy też utracić dawne pierwszorzędne znaczenie na świecie. Tak twierdzi przynajmniej poświęcone idei europejskiej federacji „Memorandum”, szeroko rozpowszechnione w Anglii i w Europie. Jeżeli bowiem i nadal prawdziwe światło nie przestanie świecić w chińsko-japońskich i turecko-arabskich monarchiach, to wtedy zróżnicowana pod względem polityczno-nacjonalistycznym Europa nie będzie mogła dawać skutecznego oporu potężnemu i solidarnemu Wschodowi...

Qui vivra, verri! W każdym razie momenty, które przeżywamy obecnie, są jak gdyby zapowiedzią nowej, przełomowej ery w życiu politycznym świata. REMY.

NASZE RYCINY.

G. Pilatti. „Po drodze”. Jest to silnie malowane studium, pełne charakteru,



Gustaw Pilatti.

go życia. Wszystko tu rusza się, pręży w wysiłku, niema ani jednej plamy martwej. Zarówno ciężki wóz siana, jako też podtrzymujący go ludzie, konie, cały krajobraz mieni się żywymi barwami, świetnie jest przytem narysowany, drga, łśni—jednym słowem, żyje. Dzieło prawdziwego talentu.—H. Weyssenhoff. „Litewskie zacinze”. Szkoda, że w reprodukcji zanika nadzwyczajna barwność tego mistrzowskiego krajobrazu jesiennego! Ale nie ujdzie uwagi widza, nawet w reprodukcji, zaciszny, sielski, przemiły nastrój tego zakątka, gdzie bawiące się pocieszne niedźwiadki powiększają słodką ciszę, jaka bije z tego dworku, z tych drzew, szczerwionych jesinią... Jest to dzieło prawdziwego artysty, kompozycyja, a nie zwykły krajobraz, pierwszy z brzegu, których nawała zajmuje ściany każdej z wystaw.

KRONIKA.

Wioślarze—Chopinowi.

Ruchliwe zawsze Towarzystwo wioślarskie, poczuwając się do spełnienia obowiązku wdzięczności wobec ducha największego z pieśniarzy polskich, poświęciło mu dzień jeden, urządzając odpowiednio do swojego charakteru całodzienną wycieczkę wodną do historycznych Młocin. Przed pałacem młocińskim po lewej stronie, pomiędzy powiewającymi flagami ustawiono na podścieleisku z świerkowych gałęzi biust jednego z największych synów naszej ziemi, nieśmiertelnego poety dźwięków, u którego stóp złożono w kwiaty spowitą lutnię. Bardzo uroczysty i podniosły nastrój zapanował wśród zebranych, gdy chór Opery wykonał przed figurą Chopina kantatę Orłowskiego, rozpoczynającą się od słów:

W mogile ciemnej śpisz na
wieki,
Więc cię nam trzeba żegnać
iż,

Bo uleciałeś w kraj daleki,
Za tobą bracia modły ślą!...

Następnie orkiestra pod dyrykcją A. Sonenfelda odegrała kilka utworów Chopina, a wiceprezes Towarzystwa wioślarzy przy dźwiękach fanfary uwieńczył biust genialnego twórcy. Szkoda tylko, że, po-

mimo wspaniałej pogody, zbyt mały udział wzięła nasza publiczność.

Nowy poseł.

Dr. Gustaw Roszkowski, b. patron trybunału w Warszawie, profesor uniwersytetu lwowskiego, wybrany we Lwowie na posła



Dr. Gustaw Roszkowski.

do austriackiej Rady państwa, jako kandydat połączonych stronnictw demokratycznych przeciw blokowi rusko-syonistyczno-socjalistycznemu.

Uniwersytetu dla Wszystkich.

We wrześniu r. b. otwarty zostaje zorganizowany przed rokiem systematyczny kurs pedagogiki p. Stanisława Karpowicza. Wykłady objąć mają całą pedagogikę w treściwym i przystępnym zarysie. Kurs składać się będzie z dwóch części: 1) zasady ogólne, teoretyczne, gdzie wskazane będą cele i drogi kształcenia młodzieży we wszystkich okresach jej rozwoju i 2) Zasady praktyczne, wyjaśniające, jakich środków i metod używać należy w wychowaniu fizycznym, moralnym i umysłowym w myśl ideałów pedagogicznych i zgodnie z potrzebami społecznymi. Ażeby słuchacze łatwiej orientować się mogli w wykładanym przedmiocie, pożądanym jest przynajmniej 4-klasowe przygotowanie i chociażby elementarna znajomość nauk przyrodniczych. Co miesiąc urządzane będą konferencje, a podczas wykładów w miarę potrzeby wskazywana będzie odpowiednia literatura pomocnicza. Wykłady odbywać się będą w godzinach wieczornych dwa razy tygodniowo. Koszty kursu wynoszą: dla członków Uniwersytetu rub. 7 kop. 40 za 37 wykładów, dla osób postronnych rub. 9 kop. 25. Zapisy na wykłady przyjmuje Biuro Związku Uniw. dla Wszystkich (Wspólna 26 m. 1) w dni powszednie od 11—1 i od 7—9, a w świąteczne od 9—11.

Koniec dzieła redakcyjnego.



Apoteoza biustu Chopina w Młocinach.

NOWY SKŁAD FUTER

FIRMY: **BOGUSŁAW HERSE**

Przy ulicy SZKOLNEJ Nr 15 (w Gmachu Firmy od strony Placu Zielonego)

Ciepłe dni słoneczne dobiegają kresu; niezadługo zawiśnie nad nami szary strop jesiennego nieba; mroźny powiew przyniesie zapowiedź śnieżnej zimy.

Nie ślepe hłodowanie modzie, nie chęć strojenia się, lecz prosta przeczność każe pomyśleć zawczasu o ciepłym okryciu. A czyż może być miłsze, praktyczniejsze, wreszcie bardziej celowe zabezpieczenie od zimna nad puszyste futerko, szczególnie dla pań, które strony estetycznej nigdy pomijać nie powinny... i nie pomijają.

Dwie z wymienionych zalet nie podlegają wątpliwości, lecz trzecia — „praktyczność“, może wywołać u niektórych sceptyków uśmiech niedowierzania. A jednak futerko jest praktyczne! Kupione w dobrym gatunku wytrzyma lata, zawsze jest piękne, wytworne, świeże, a mała niekosztowna zmiana wystarcza, ażeby nadać mu piętno ostatniej mody. W ostatecznym wyniku wydatek większy, lecz jednorazowy, obliczony rozsądnie na dalszą metę, wyniesie mniej, niż doroczne kupno sezonowych okryć i płaszczyków, nie raz bardzo kosztownych. Ażeby tę praktyczność osiągnąć, należy kupić futro dobre. W jaki sposób zrobić trafny wybór w towarze tak trudnym?

Otóż kupno futra musi być kwestią zaufania i skierowane być powinno do Firm, które długoletnią pracą wyrobiły sobie zaszczytną opinię nieskazitelnej uczciwości. Tym względem tłómaczyć sobie należy nieustanny wzrost działu futrzanego w firmie „Bogusław Herse“, która zmuszona koniecznością, przeniosła część składu futer do nowego lokalu od strony Placu Zielonego.

Warto zwiedzić te składy.

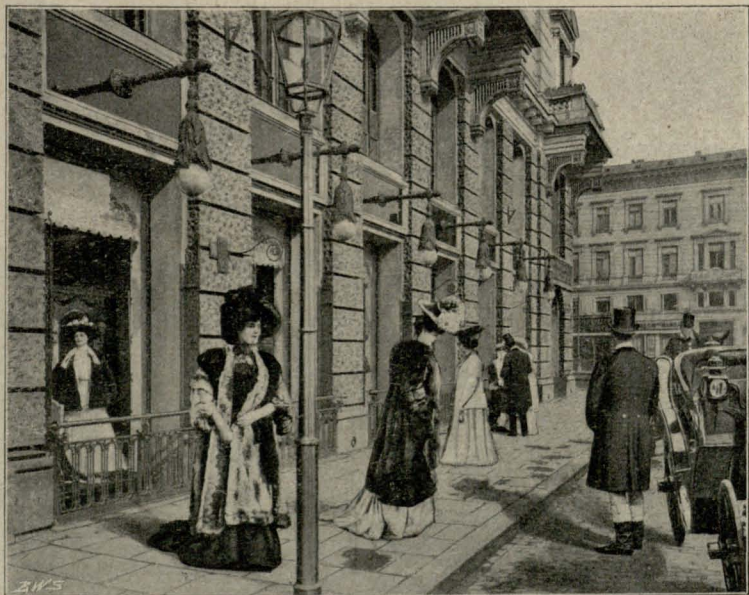
Nowy magazyn mieści się na uboczu, zdala od zgiełku i gwaru. Przez wspaniałe okna wystawowe, tworzące niemal szklaną ścianę, płynie pełne, czyste światło, nie skażone przez żaden odbłask sąsiednich murów. Jasne ściany, koloru zupełnie biernego, nie są obliczone na pochlebne zabarwienie towaru. Futra idą tu pod sąd badawczego oka śmiało, zasobne we własne zalety, nie szukają sztucznej obrony, nie boją się światła!

A jakież nieprzebrane bogactwa nagromadzone są w tych obszernych składach, sięgających aż w podziemia obszerne gmachu!

Korzystając z uprzejmości właścicieli, miałam sposobność zwiedzenia składów bezpośrednio po nadejściu futer, zakupionych osobiście przez p. Adama Hersego w Niżnym Nowogrodzie. Stosy soboli, ciemnych, puszystych, wartujących po kilkaset rubli za pojedynczą skórę, piętrzyły się przed biegłymi znawcami, sortującymi pod baczny okiem właściciela towar podług gatunku, barwy, puszystości włosa. Nie należy zapominać, że sobole stanowią znaną specjalność firmy „Bogusław Herse“. Czyż można się temu dziwić? Wszakże miękki, puszysty, miły soból jest ulubieńcem naszym, jest futrem nawskroś kobiecym; piękna jego skórka powolna jest wszelkim wymagom kapryśnej mody, zachowując zawsze swój urok i swą wartość. Dalej



Salon od ulicy Szkolnej.



Okna wystawowe składu futer od strony Zielonego Placu, w gmachu firmy Bogusław Herse (wejście: Marszałkowska Nr 150).

widziałam potężne partie lisów cennych i pospolitych, karakulów, kasztanów, gronostai. Czyż podobna wyliczyć wszystkie nazwy?

Nie są to jednak skarby niedostępne. I w dziedzinie futer następuje demokratyzacja: obok kosztownych soboli, fok, bobrów stają do współzawodnictwa całe szeregi futer ładnych, trwałych i niedrogich, dostępnych nie tylko dla wybrańców losu.

Otóż, nie obawiając się pomówienia o stronność, zalecić mogę każdej z pań, ażeby przed kupnem jakiegokolwiek stroju futrzanego, czy to kosztowniejszego okrycia, czy skromnej czapeczki, mufki lub krawata, zwiedziła nowo utworzone składy firmy „Bogusław Herse“, gdyż zapozna się tu z ostatnim kierunkiem mody, zastosowanej do wymagań naszego klimatu, z robotą staranną, rzec można, artystyczną, nieodzowną przy tak cennym materiale, wreszcie z wyborem niedoścignionym. Przeświadczona jestem, że wszystkie te czynniki, wraz z umiarkowaniami, ściśle obliczonymi cenami, przechylą szalę na korzyść firmy „Bogusław Herse“ — i słusznie! CZYTELNICZKA.

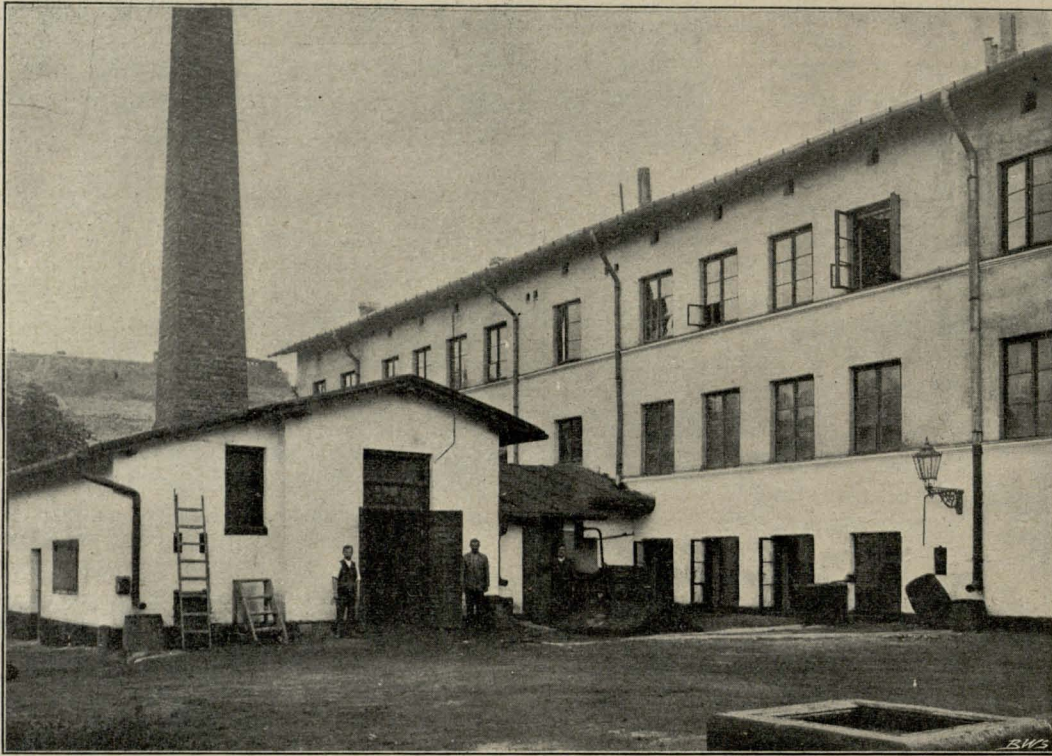
P. S. Firma „Bogusław Herse“ wysyła do klienteli zamiejscowej zupełnie bezpłatnie wszelkie projekty, rysunki, kosztorysy, obliczone podług życzenia w rublach, koronach lub markach.

MYDŁA, PERFUMY I DOBROCZYNNOŚĆ RYSZARD WILDT.

Ogólną uwagę na wystawie lubelskiej zwraca duży, bogato udekorowany pawilon fabryki mydeł i perfumeryi „Ryszard Wildt“.

Firmę tę założył w roku 1886 obecny jej właściciel na tem samem miejscu za rogatką Belwederską w Warszawie, gdzie dziś się znajduje. Podczas 23-letniego swego istnienia fabryka rozwijała się i wzrastała stale, a chociaż ostatnie lata przesilenia przemysłowego musiały odbić się i na tej fabryce, produkcja jej jednak zmniejszeniu nie uległa. Fabryka Wildta zatrudnia około 160 ludzi, pracujących pod kierunkiem głównego dyrektora, doktora chemii, Henryka Wildta.

Obroty handlowe fabryki tej zwiększyły się w ostatnich czasach tak znacznie, że jeden kierownik okazał się już niedostatecznym, i doktor Henryk Wildt, pozostając głównym szefem, poświęca cały swój czas laboratorium i fa-



GMACH FABRYKI.

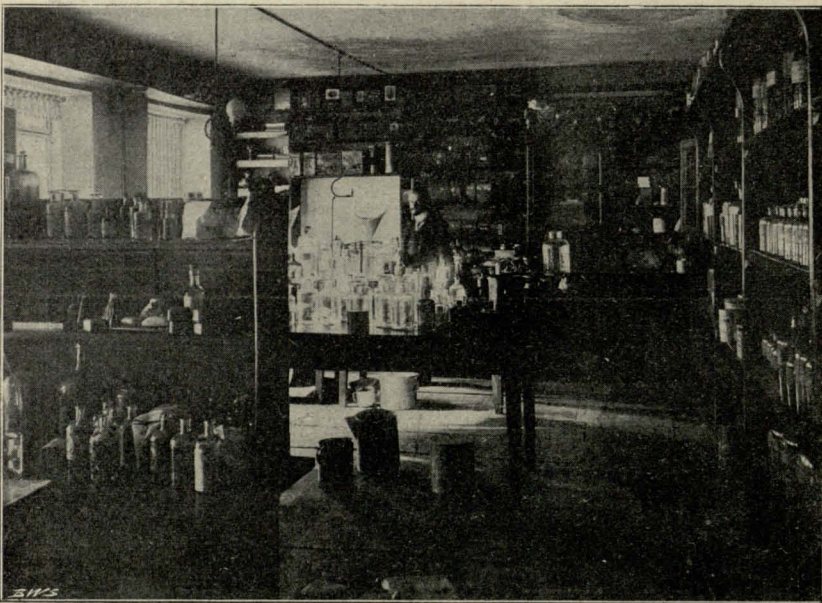
ne, lecznicze i przetestowane, higieniczne, z których najpopularniejsze są od dłuższego czasu **Ideał**, a od kilku dni **Nr. 1000**. Wspaniałe wprost są mydła waselinowe, przy których kupnie należy zwracać jednak baczną uwagę, ponieważ jest mnóstwo falsyfikatów.

„Eliksir do zębów“ Wildta i krążki na odciski „Ryszard“ mają swoją ustaloną sławę i zasłużoną popularność.

Fabryka ta wyrabia także mydła specjalne dla chirurgów: mydło glicerynowe w płynie, czyste i formalinowe do użytku przed operacjami.

Oprócz wymienionych artykułów, woda leśna, woda kolońska zwyczajna i z zapachem, tudzież różnorodne pudry i kosmetyki fabryki Wildta cieszą się ogromnym pokupem.

W celu spopularyzowania tych wyrobów na wystawie lubelskiej właściciel fabryki ofiarował przez cały czas jej trwania znaczny rabat od dochodów ze sprzedaży



Naczelnny szef firmy, dr. Henryk Wildt, przy pracy w laboratorium.



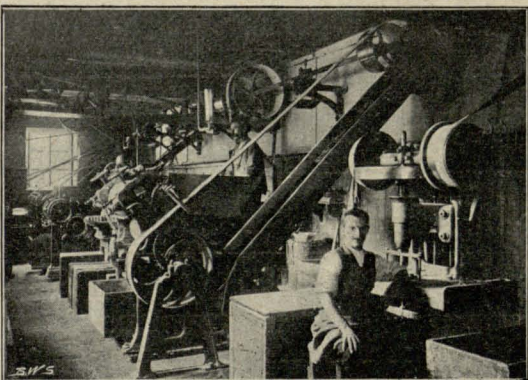
Czas w drogę. Dysponent firmy, p. W. Jakowicki, daje polecenia podróżującym.

brycy, podczas gdy dział handlowy powierzył p. Wincentemu Jakowickiemu.

W ostatnich czasach firma tak wzmożona okazała ogromną ruchliwość, biorąc udział we wszystkich ważniejszych wystawach i ogarniając tym sposobem nowe rynki zbytu. Bo też wyroby Wildta są bardzo dobre, materiały, używane tylko w najlepszym gatunku, dają rękojmię, że firma Ryszard Wildt w bardzo niedługim czasie będzie naprawdę bez konkurencji. Świadczy o tem wymownie obrót netto, sięgający rocznie 350000 rb.

Fabryka urządzona jest podług ostatnich wymagań techniki i higieny; wyrabia ona mydła kosmetycz-

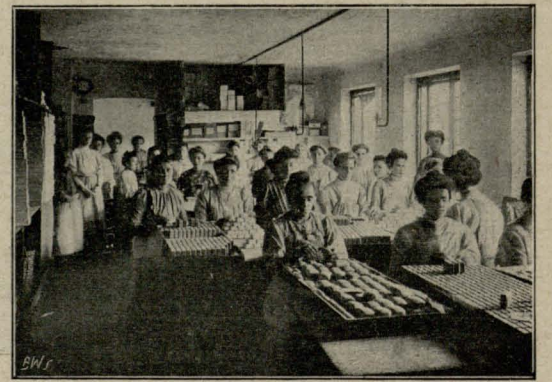
wszystkim instytucjom dobroczynnym miasta Lublina. W ten sposób fabryka warszawska przyjdzie z pomocą wielu zakładom humanitarnym lubelskim, dając dobry przykład innym firmom, uczestniczącym w wystawie, do naśladowania. To też do pawilonu Wildta na wystawie lubelskiej powinni śpieszyć wszyscy jej goście, którzy znajdą w nim ogromny wybór artykułów perfumeryjnych, taki sam, jak w głównym sklepie w Warszawie, na Placu Teatralnym Nr. 18, obok kościoła Panien Kanoniczek.



Część hali maszyn.



Kartka wyjeżdża rano, aby rozwieźć zamówiony towar.



Jedna z sześciu sal, przeznaczonych na pakowalnię.

NARZĘDZIA CHIRURGICZNE

ALFONSA MANNA.



Gablota chirurgiczna.

Ze przemysł metalowy kroczy u nas stale po drodze postępu, dowodem znana zaszczytnie firma warszawska „Alfons Mann”, istniejąca od 1819 roku, która w dziale chirurgiczno-lekarskim wystawiła w Lublinie liczny zbiór narzędzi chirurgicznych, wykonanych w większości podług modeli fabryki francuskiej Collina. Błyszczący wygląd i subtelne wykończenie tych różnorodnych przedmiotów, świadczących o coraz większym doskonaleniu się chirurgii, dowodzą, że fabryka Manna skutecznie współzawodniczy z francuskimi, ponieważ wyroby jej są znacznie tańsze, a wykonane z równą precyzją.

W okazałej szafce oszklonej, pomieszczonej w głównym pawilonie wystawy, zwraca również uwagę zbiór bandaży przepuklinowych tej firmy, własnych systemów, które mają w całym kraju taką ustaloną opinię u odbiorców.

Ciekawym dokumentem zasługi fabryki „Alfons Mann” jest dyplom zaszczytny, jeszcze z 1838 roku, otrzymany przez nią, a budzący wyglądem swoim staroświeckim ogólne zaciekawienie i uznanie.

To też umieszczamy obok jego reprodukcję.



Dyplom G. Manna.

POD CZAREM „IRISU”.

Spotkałem go u wejścia do pawilonu głównego. Był zasępioń, roztargniony, chmurny. Jak pogoda, towarzysząca pierwszym dniom wystawy lubelskiej.

— Czemuż to pan tak strapiony?— spytałem.

— Widzi pan, co się tu dzieje. Toć trudno wystawcy nie być rozgoryczonym, kiedy, ponosząc dużo ofiar pieniężnych i wiele fatygi osobistej, zastaje się na terenie turnieju publicznego, do którego ma się stanąć za chwilę, tyle przeszkód, tyle trudności do zwalczenia, zanim zdoła się uporać ze wszystkimi wadami organizacji wystawy na prowincyi. Za godzinę otwarcie, a patrz pan, wszystkie moje okazy spoczywają jeszcze w pakach i o żadnego rzemieślnika doprosić się nie mogę!

— Tylko nie zrażać się przeciwnościami— odparłem. — Niechno pan pójdzie za mną, a w ciągu pięciu minut rozchmurzy pan napewno zasępioń oblicze.

I o kilka kroków od wejścia do głównego pawilonu wystawy zatrzymałem mego strapionego przemysłowca przed oszklonym kioskiem, od którego biły odurzające wonie najdelikatniejszych perfum.

W tej chwili nadobna rączka uprzejmej Warszawianki nacisnęła rączkę rozpylacza, i na mego znajomego spłynął kroplisty deszcz „wody bżowej”.

Pod wpływem miłego wrażenia, odświeżającego i subtelnego zapachu skłopotany



wystawca przymrużył oczy, wchłaniając rozkoszną woń pełnemi płucami—i, o dziwo, rozjaśnił mu twarz zasępioń uśmiech szczery, zwiastujący pierzchnięcie zniechęcenia.

— To wpływ mojej „wody bżowej”— rzecze do nowego klienta czarująca szafarka perfum.—Humor panu powraca, a żeby go utrwalić wspomnieniem miłej chwili, którą pan spędził przed tym szklanym kioskiem, proszę spojrzeć na ten napis na szybie: „Iris”! Niech pan pamięta: „Iris”!...

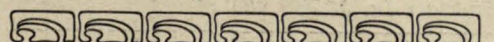
Tu wdzięcznym ruchem sprytna Warszawianka wręczyła towarzyszowi małe delikatne pachnące mydło lanolinowe, „Nr 337”.

— Niech pan je zachowa na pamiętkę odzyskania humoru i werwy pod czarem „Irisu”— rzekła.

I oczarowany wystawca spojrzął na firmę, umieszczoną na otrzymanym wonnym upominku „H. Lachs i S-ka. Perfumeria „Iris”, Warszawa. Przejazd 1”.

— Dziękuję... Stokrotnie dziękuję— powiedział z uprzejmym ukłonem, zupełnie zmieniony już w usposobieniu przemysłowiec.— Biegnę czempredziej urządzać moją wystawę. Na otwarcie musi być gotowa.—Teraz już o tem nie wątpię. I, pożegnawszy się ze mną, pobiegł, ginąc mi z oczu za stosami pak, desek, płócien i innych akcesoryów wystawowych.

— Powróciłem mu energię czynu dzięki czarowi „Irisu”— pomyślałem.





HERMAN & GROSSMANN

MAZOWIECKA 16

WYŁĄCZNI REPREZENTANCIZNANEJ FABRYKI

J. TRESSELT w Rydze

(Egz. od roku 1835).

Instrumenty te wyróżniają się pięknym i śpiewnym tonem, doskonałą mechaniką z repetycją i trwałą odrobieniem. System amerykański z metalową, krzyżowaną ramą. Pod względem tonu i konstrukcji nie ustępują zagranicznym najlepszym fabryk.



NA TE INSTRUMENTY ZWRACA SIĘ SPECYJALNĄ UWAGĘ OSÓB MUZYKALNYCH.



Fortepiany od 650 rubli, Pianina od 475 rubli.

PETERSBURG, MORSKA 33.

Cenniki gratis.

MOSKWA, KUZNIECKI MOST.

C-SKORYNAJSKA FABRYKA MASZYN
I KAMIENI MŁYŃSKICH
BUDOWA MŁYNÓW
WARSZAWA - PRAGA WSZELKIE ARTYKUŁY MŁYŃSKIE.
OLSZOWA 14 TURBINY, TRANSMISJE i t.p.

SZKOŁA KAROLA SCHULZA

w Warszawie, ul. Św. Barbary 10.

Z INTERNATEM

Przyjmuje chłopców analfabetów i z początkami, i przyspasabia ich do wszystkich średnich zakładów naukowych. Szkoła kładzie

główny nacisk na poglądowość w nauczaniu. Przy szkole znajduje się bogate muzeum szkolne, zawierające przeszło 10,000 okazów do poglądowego nauczania, które zwiedzać mogą wszyscy, interesujący się wychowaniem młodzieży.

ZAKŁAD FREBLOWSKI przyjmuje chłopców i dziewczynki od 3—7 lat.

Zapisy przyjmuje się codziennie od godz. 9 do 6.

Lekcje rozpoczną się 2-go września.

JÓZEF FRAGET

FABRYKA
WYROBÓW PLATEROWANYCH
I SREBRNYCH 84-ej PRÓBY
Warszawa, Elektoralna 753/16.

SKŁADY:
Wierzbowa 8. Nalewki 16.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja

Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Chłodna Nr 18, Niecała Nr 9, Dzika Nr 7, Leszno Nr 4, Nowy-Świat Nr 49, Sienna Nr 2 a, Praga Brukowa Nr 32, Długa Nr 19.

Filie: Łódź, Zielona Nr 5. Częstochowa, II Aleja Nr 34.

Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCZKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26
Telefonu 167.49.

J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI Krakowskie-Przedmieście Nr 19 dom własny

Bracia ŁOPIEŃSCY polecają **BRONZY** Magazyn Krakowskie Przedmieście № 15 dom Hrabiego J. Potockiego

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesł. do redakcyi, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa

PASKI DAMSKIE, TOREBKI RĘCZNE,
PRZYBORY TOALETOWE, PERFUMERYE,
MYDŁA, poleca po stałych niskich cenach.

STEFAN POREBSKI

Kraków, Rynek 32, linia C-D

SZKOŁA SZTUK PIĘKNYCH
DLA KOBIET

MARYI NIEDZIELSKIEJ
KRAKÓW—UL. KOLEJOWA L. 3.
Początek nauki dnia 1 października.

Profesorowie:

Feliks Jasieński—St. Kamocki—Ja-
cek Malczewski—Włodzimierz Tet-
majer — Wojciech Weiss — Leon

Wyczółkowski

Szczegółowy program na żądanie.

MAISON „SPLENDID”

MAGAZYN

BIELIZNY PARYSKIEJ

Bluzek wiedeńskich

Warszawa, Czysa 2.
Telefon 190.20.

MEBLE

ZAŁĘSKI i S-ka

Warszawa, Erywańska Nr 2,

parter, 1-sze i 2-gie piętro.

Rok założenia 1870. Telefon 16.39.

NAJLEPSZA KAWA
SKONCENTROWANA

EXTRAIT de MOCCA

Eugeniusz Widigier i S-ka

WARSZAWA,

Al. Jerozolimska 25, tel. 35-33.



HOTEL SAVOY

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT

Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod własnym zarządem. Centrum miasta.

Denaturowany spirytus.

Spirytus stały w puszkach,
spirytusowe lampy, palniki,
kuchenki, żelazka i t. p.

B-CIA WIŚNIEWSKY I S-ka
Foksal 18, Telefon 3069.

J. MIECZKOWSKI, Fotografia
Marszałkowska III. Telefon 16.81.

LEKARZ DENTYSTA
A. ZAWADZKI

ZIELNA 7 róg Złotej, daw. Marszałkow. 108
Telefon 184.47. Przyj. od 10—2 i od 3—5i pół.

Nowe maszyny
DO BIELENIA I DEZYNFEKCYI

„APOLLO“

nadzwyczaj dogodne w użyciu, nieod-
zowne w każdym gospodarstwie.

PASY SKÓRZANE

oryginalne angielskie w najlepszych
gatunkach, poleca

ALFRED GRODZKI

Warszawa, 33, Senatorska.

NARZĘDZIA LEKARSKIE,
ARTYKUŁY LECZNICZE I OCHRONNE,
WYROBY NOŻOWNICZE

Bronisław Krug

Warszawa, Bracka 18, telef. 35-47.

Ceny fabryczne. Wysyłka za zaliczeniem.

LECZNICA DLA DZIECI

D-ra Juliana Gawrońskiego

Plac Ś-go Aleksandra 18 (róg Brackiej),
telefon 40-33. Przyjęcia od godz. 9 do 11
rano. Porada 50 kop.

LUDWIK SZUFA
KRAWIEC

KRAKÓW TELEFON 671